

10	11	12	13	14	15
25	26	27	28	29	30
40	41	42	43	44	45
55	56	57	58	59	
70	71	72	73	74	
84	85	86	87	88	89
100	101	102	103	104	
113	114	115	116	117	118
127	128	129	130	131	132
142	143	144	145	146	147
157	158	159	160	161	162
173	174	175	176	177	178
179					

PL ISSN 0137-7109 Nr 16 (862) 1986

Tajemniczy portret w hotelu

str. 9



DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

• ROK ZAŁOŻENIA 1933

Kamena

NR 16 (862)

10 sierpnia 1986

Cena 15 zł



Fot. Waldemar Stępień

Wielkie małe życie

str. 12, 11

Boje i przeboje Jeremiego Wiśniowieckiego

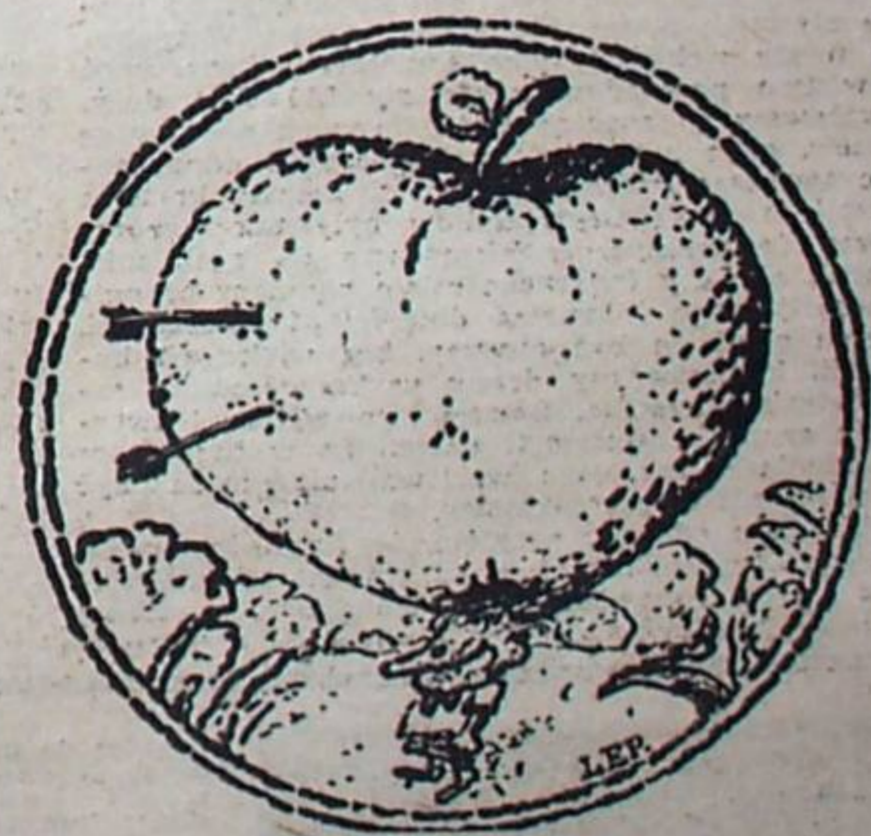
str. 6-7

Widok z zamku ...i z dachu

str. 4-5

Miss Polonia w Paryżu

str. 9



Rzymskie mundiale

str. 10

Początki Ludowego Lotnictwa

Mineły czterdzieści trzy lata od momentu, kiedy w piękny lipcowy dzień 1943 roku na radzieckie lotnisko w pobliżu wsi Grigoriewskie zajęły dwa samochody ciężarowe z niezwykleymi pasażerami. Byli to żołnierze kościuszkowcy, przyszli piloci pierwszej polskiej eskadry lotniczej, którą zorganizowano na gościnnej ziemi radzieckiej. 24 lipca 1943 roku nad lotnisko Grigoriewskie wzbil się pierwszy samolot szkolny UT-2, co oznaczało, że szkolenie polskich pilotów zostało rozpoczęte.

W miesiąc później (20.08.1943 r.) eskadra przekształcono na 1 Pułk Lotnictwa Myśliwskiego, który w październiku otrzymał nazwę „Warszawa”. Wraz z 2 Pułkiem Nocnych Bombowców „Kraków”, powstałym 1 kwietnia 1944 roku, i 103 Samodzielną Eskadrą Lotnictwa Łącznikowego były to

jednostki stanowiące zalążek Ludowego Lotnictwa Polskiego. Całkowitej pomocy w ich utworzeniu udzielił Związek Radziecki.

W czerwcu 1944 roku 1 Pułk Lotnictwa Myśliwskiego „Warszawa” — dowodzony przez ppłk. pil. Jana Taldykina — i 2 Pułk Nocnych Bombowców „Kraków” — dowodzony przez ppłk. pil. Józefa Smagę — przeniesiono z Grigoriewskiej na lotnisko Gósfomel, 20 km na północ od Kijowa.

Po wyzwoleniu przez Armię Radziecką i walczące u jej boku Wojsko Polskie wschodnich terenów naszego kraju, w połowie sierpnia 1944 roku, obydwa pułki przebazowano na lotnisko Dys koło Lublina, a 19 sierpnia na lotniska przyfrontowe w Zadybiu Starym i Woli Rówkiej.

Dla lotników i obsługi naziemnej obu pułków nadszedł czas chrztu bojowego. 23 sierpnia 1944 roku samoloty z biało-czerwoną szachownicą wykonały pierwsze zadania bojowe, bombardując stanowiska ogniowe nieprzyjaciela w rejonie Warki. Wykonano je pomyślnie.

Od sierpnia 1944 do stycznia 1945 roku polskie jednostki lotnicze brały czynny udział w walkach nad środkową Wisłą i znacznie przyczyniły się do wyzwolenia Warszawy. W lutym i marcu 1945 r. uczestniczyły w walkach o Pomorze, a w kwietniu w Operacji Berlińskiej, by na ziemi wroga zakończyć chlubny szlak bojowy.

Bogate są karty naszego lotnictwa. W okresie II wojny światowej dokonało ono łącznie, zarówno na froncie wschodnim, jak też na Zachodzie, ogromnego wysiłku i wkładu w zwy-

cięstwo nad faszyzmem hitlerowskim, zdobywając sobie poważne uznanie. Ogółem polskie jednostki lotnicze, walczące na wszystkich frontach wykonały około 110 tys. lotów bojowych, zeszyły 967 samolotów i 190 pocisków V-1 oraz zniszczyły wiele dział, czołgów, samochodów i innego sprzętu bojowego.

Historia lotnictwa polskiego to przede wszystkim historia ludzi, którzy w głównej mierze decydowali i decydują o jego sile bojowej i sukcesach.

Umiejętności lotnicze, patriotyzm, ofiarność i bohaterstwo lotników polskich, wykazane w trudnych latach wojny oraz w okresie pokojowym, mają zasadniczy wpływ na współczesny obraz Ludowego Lotnictwa Polskiego. Kolejne pokolenia żołnierzy-lotników, dysponujące najnowocześniejszymi samolotami, wzbogacają ów obraz wzorową i ofiarną służbą w obronie powietrznych granic socjalistycznej Ojczyzny.

Jerzy Kołdras

Lądowanie pod Matczynem

ZDAWAC by się mogło, że w 41 lat po zakończeniu wojny wszystkie jej tajemnice zostały już wyjaśnione. Tymczasem od czasu do czasu życie odkrywa bądź „prostu” je” różne, czasem epizodyczne zdarzenia. Tak było i z pierwszym na okupowanym terenie lądowaniem samolotu alianckiego, w nocy z 15 na 16 kwietnia 1944 roku na polach majątku Matczyn, niedaleko Bełżyc.

Koncepcja utworzenia „lotniczego mostu”, łączącego okupowany kraj z emigracyjnym rządem generała Sikorskiego, sięga swym początkiem jesieni 1939 roku. Już wtedy dowództwo lotnictwa polskiego we Francji czyniło starania (zresztą bezskuteczne) o uzyskanie jednego egzemplarza samolotu RWD-15, przystosowanego do lotów długodystansowych (do tysiąca kilometrów), który został ewakuowany do Rumunii. Później kapitan saperów Maciej Kalenkiewicz do końca listopada 1939 roku oficer konnego oddziału leśnego majora „Hubala”, po przedostaniu się do Francji proponował podjęcie próby lotu do Polski z wykorzystaniem wodnosamolotu. Lądowanie bowiem na którymś z zajętych przez okupanta polskich lotnisk nie mogło być brane pod uwagę. Wytypował nawet dwa jeziora — Uściwierz i Białe, oba na Lubelszczyźnie — gdzie pływakowy samolot mógłby bezpiecznie wodować. Pomysł upadł, gdyż Francja skapitulowała i pomysłodawca — podobnie jak wielu Polaków — musiał ewakuować się na Wyspy Brytyjskie. Tam jednak ponownie wystąpił z propozycją lotu do Polski. Realizacja pomysłu nastąpiła wszakże dopiero wiosną 1944 roku.

Brytyjczyki ostatecznie nie zaakceptowali projektu wykorzystania wodnosamolotu, gdyż po prostu nie mieli maszyny o takim zasięgu. W rachubę mogli wchodzić tylko samoloty lądowe, choć i w tym przypadku wybór nie był zbyt duży, zważywszy na znaczny ciężar branych pod uwagę typów, co z kolei dyktowało warunki odpowiednio twardego podłoża lądowiska. Zresztą kryteria określone przez Brytyjczyków były tak wygórowane, że praktycznie niemożliwe do spełnienia. Żądali oni, aby lądowisko miało wymiary co najmniej jednego kilometra długości i szerokości. Teren powinien być otwarty, bez większych budowl, kominów czy drzew w bezpośrednim sąsiedztwie lądowiska. Szczegółowo wyliczyli twardość gruntu i zastrzegli nawet, że w przypadku zalegania śniegu, jego warstwa nie może być gębsza niż dwa centymetry.

W kraju od razu przyjęto, że Anglików trzeba będzie „oszukać”, gdyż niemożliwym jest znaleźć teren odpowiadający ich żądaniom. Małej

problemów stwarzały pozostałe wymogi, takie jak: dobór personelu obsługującego lądowisko, wyposażenie w światła sygnalizacyjne (przyjęcie samolotu mogło nastąpić tylko w nocy), radiostacja do bezpośredniej łączności z lotnikami, no i oczywiście zbrojna osłona całej operacji.

Patrole lotnicze wytypowanych okręgów Armii Krajowej wyruszyły w teren celem lustracji obszarów nadających się do lądowania samolotu. W Lubelskiem zajął się tym kpt. Janusz Mościcki ps. „Jacek”, przedwojenny pilot 3 Pułku Lotniczego.

— Najlepszym — jak wspomina — choć dalekim od stawianych wymogów, okazał się teren przy majątku Matczyn. Był to pas białej koniczyny o dość twardej nawierzchni, 900 metrów długości i 200 metrów szerokości. Z uwagi jednak na to, że był zbyt wąski, mógł przyjąć samolot tylko w osi z południa na północ.

Pierwotnie lot planowano pomiędzy 11 a 18 października 1943 roku i ustalono już nawet kryptonim operacji — „Operation Wildhorn”. Nie doszła jednak ona w tym terminie do skutku, gdyż po opanowaniu przez aliantów południowych Włoch, zdecydowano przenieść z Anglii do Brindisi bazę Dywizjonu do Zadań Specjalnych.

Wieczorem 15 kwietnia 1944 roku, tuż po zachodzie słońca, z lotniska Campo Casale niedaleko Brindisi wystartował samotny Douglas „Dakota”, przyjmując kurs nad Adriatyk i niewidocznie w wieczornym zamgleniu wybrzeże albańskie. Po trzech godzinach lotu został ostrzelany przez niemiecką artylerię przeciwlotniczą broniącą Budapesztu, a około północy wleciał nad teren Lubelszczyzny.

Tymczasem w rejonie Matczyna, w tym czasie, gdy samolot startował we Włoszech, trwało już ostre pogotowie.

— Około godziny dwudziestej pierwszej — relacjonuje Tadeusz Wojtaszko ps. „Babiniec” — otrzymaliśmy rozkaz wymarszu. Każdy żołnierz dowodzonego przez „Rokę” (Paweł Bartoszcze) oddziału niósł dwie naftowe lampy stajenne. Na końcu jechała furmanka z bankami nafty, drewnem na ognisko i innym sprzętem. Wszyscy byli uzbrojeni, gdyż niezależnie od oddziałów osłonowych przewidziano wzmocnienie ich, w razie niebezpieczeństwa, ludźmi z obsługi startowej.

O wpół do jedenastej, pod bezpośrednim kierownictwem oficera startowego por. „Suma” (Wiktor Wojcieszek), rozpoczęto przygotowywanie ogniska i rozstawianie co około 50 metrów stajennych latarń. Zgodnie z ukształtowaniem terenu, ustalili on oś lądowania z kierunku południowego. Zaledwie skończono przygotowania, kiedy dał się

słyszeć warkot nadlatującego samolotu. Ale to nie był ten oczekiwany. Tej samej bowiem nocy inna maszyna wyekspediowana została ze zrzutem zaprzęgnięta na Zamojszczyznę. I kiedy opadły już emocje po oddaleniu się samolotu, w niespełna pół godziny pojawił się następny.

— Daliśmy sygnał dolnym światłem — odnotował kpt. Bolesław Korpowski, jedyny Polak w mieszanej brytyjsko-australijskiej załodze — i tuż z przodu prawidłowo odpowiedziała nam nikla latarka. Zatoczyliśmy szeroki łuk, wypatrując ogniska, od którego już tylko kilometr dzielił nas do miejsca lądowania. Podchodziliśmy prawie dokładnie od wschodu na zachód.

Ted wypuścił podwozie i klapy do lądowania. Ale co to? „Dakotę” niesie i niesie, przed nami drzewa! Pełny gaz, chowamy klapy i podwozie, przechodzimy na drugi krąg. Ted próbuje jeszcze raz z większej odległości. „Dakota” szybuje tuż nad ziemią. Wreszcie: Lup! Koła namacały grunt. Pilot zaparł się w hamulce z wolantem na brzuchu. Zatrzymaliśmy się kilkadziesiąt metrów przed zagajnikiem.

Dlaczego samolot nie mógł wylądować przy pierwszym podejściu? To pytanie przez wiele lat pozostawało bez odpowiedzi. Dopiero wnikliwe porównanie relacji wielu ludzi uczestniczących w tej operacji wyjaśniło zagadkę.

W spisanej przez niedawno zmarłego w Sydney kapitana Korpowskiego relacji z lotu jest kilka szczegółów, może nieistotnych dla partyzanta, ale ważnych dla lotnika.

„Wystartowaliśmy tuż po zachodzie słońca. Wiał wiatr od wschodu...” (!)

I dalej:

„Kiedy już po szczęśliwym zatrzymaniu się samolotu na ziemi wysiadłem z kabiny, poczułem swąd dymu z ogniska...”

Linia lądowania, jak wspomniano, z uwagi na ograniczone wymiary lądowiska, wyznaczona została w osi południe — północ. Tymczasem już po starcie w Brindisi pilot stwierdził, że wiał wiatr od wschodu. Nalot nad Matczyn też nastąpił z tego kierunku. Dopiero po zapaleniu lamp i ogniska załoga skorygowała linię podejścia i w rezultacie lądowała z wiatrem tylnobocznym, a nie pod wiatr, jak nakazuje reguła. W takiej sytuacji następuje wydłużenie drogi lądowania i w przypadku ograniczonego lądowiska grozi rozbięciem maszyny na dobiegu. Niewłaściwy dla lotników kierunek wiatru tamtej nocy w Matczynie potwierdza też fakt, że pilot poczuł po zatrzymaniu się samolotu swąd dymu z ogniska, które zapalone zostało, zgodnie z instrukcją, około jednego kilometra od miejsca lądowania. W prawidłowej sytuacji dym powinien być zwiewany, na początek drogi podejścia i nie mógłby być wyczuwany po zatrzymaniu się samolotu.

Przytomność działania załogi, która w ostatnim momencie zorientowała się, że samolot zbyt długo „niesie się” ponad lądowiskiem i podjęła prawidłową decyzję o zejściu na drugi krąg, uchroniła całą operację przed tragicznym finałem.

Tak to po wielu latach udało się wyjaśnić drobny z pozoru, ale istotny dla powodzenia całego, długo przygotowywanego przedsięwzięcia, szczegół.

Jan Gwalbert Zygmuntowicz

KRONIKA KULTURALNA

W kulturze sezon ogórkowy w pełni, toteż i niejaki kłopot z naszą „Kroniką kulturalną”, żeby wypełnić ją istotnymi informacjami. Nowych przedstawień, koncertów i rozmaitych imprez kulturalnych należy spodziewać się nie wcześniej niż około połowy września, a tymczasem w wielu placówkach i instytucjach kulturalnych trwają remonty i przygotowania bu-

dynków do otwarcia nowego sezonu. Przy okazji przypominamy, że od trzech lat trwa remont zabytkowego budynku Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. H. Łopacińskiego. Ze względu na rolę, jaką pełni w mieście stara, niezastąpiona „Łopata”, wielu czytelników zainteresowanych jest tym, kiedy wreszcie remont zostanie zakończony. Budowlani zapowiadają, że ukończą prace w lipcu 1987 roku; oby nie zawiedli.

• Drapieżna nieco i zawsze trochę kontrowersyjna polska piosenkarka (zresztą lubimianka), Beata Kozdrak, zdobyła pierwszą nagrodę na Festiwalu Krajów Nadbałtyckich, odbywającym się po raz ówczasty w Karlsham w Szwecji. Wkrótce reprezentować będzie, wraz z Danutą Błażczak, polską piosenkę na festiwalu w Sopocie. Przypomnijmy, że przed 8 laty nieśmiała debiutantka z Lublina stawiała pierwsze kroki na festiwalu piosenki polskiej w Opolu.

• Nie bacząc na wakacyjny czas, pracownice dni mają placówki kulturalne w województwie białkopodlaskim. Domy Kultury w Radzynie, Parczewie, Międzyrzeczu, Łosicach przygotowały szereg imprez kulturalnych: filmowych, plastycznych, muzycznych, przede wszystkim z myślą o dzieciach i młodzieży.

• W Zwierzynie odbywały się w połowie lipca Dni Folkloru Zamojszczyzny, wypełnione przede wszystkim widowiskami obrzędowymi w wykonaniu ludowych zespołów teatralnych i muzycznych z Ostrowca, Frampola, Rakówki. Odbywały się także wieczory autorskie poetów zamojskich; Władysława Sitkowskiego, Zofii Głab, Janiny Radomskiej. Rozstrzygnięto również konkurs, którego celem było odnalezienie i opisanie ginących zjawisk ludowej kultury. Imprezie towarzyszył kiermasz sztuki ludowej. Ponadto gościnie koncertował Zespół Artystyczny z Kowla (ZSRR).

• Przez cały lipiec trwało, po raz trzynasty już zorganizowane, w tym roku Studium dla Instruktorów Polonijnych Zespołów Folklorystycznych. Uczestniczyło 41 osób, poznając polską kulturę, ludowe zwyczaje, zdobywając wiedzę, która będą przekazywać i propagować wśród Polonii USA, Kanady, Francji, Wielkiej Brytanii, Finlandii, Czechosłowacji.

• Muzeum Okręgowe w Białej Podlaskiej podjęło kolejną cenną inicjatywę w dziedzinie wystawiennictwa. 19 lipca otwarte zostały w Brześciu dwie interesujące, jak wolno przypuszczać, wystawy — „Ludowa tkanina polska” oraz „Medale Polski Ludowej”. Mieszkańcy Brześcia i Białoruskiej SRR będą mogli oglądać ekspozycje do końca listopada br.

MIEDZY Narodowy Hotel Studencki, do którego trafiają latem młodzi ludzie z całego niemal świata. Po prawej ręce recepcja przerobiona z akademickiej portierni. Za szybą dziewczyna w różowej bluzce. Na korytarzu pomieszczone, obcojęzyczne głosy. Jacyś ludzie w dresach tłoczą się u wejścia. Z któregoś z pokoi dobiega mocna muzyka — heavy metal. Brzęczy telefoniczna centrala. Słońce za wielką, brudną szybą to chowa się za chmurami, to znów rozpala łagodnym blaskiem. Czekam na spotkanie umówione wczoraj po gwałtownej rozmowie, pełnej ataków, wątpliwości i wyjaśnień. Jeszcze teraz czuję we wspomnieniu metaliczny smak puszkowego piwa. Odpędzam natrętą myśl, że jestem jak sęp, gotów zawsze dopaść ludzkich emocji, by je przetrwać, przegadać i wypluć. Każdy z piszących żywi się niecodziennieścią.

Mike — lat 33, mieszka w Miami, ale przyjechał tutaj z Włoch, gdzie na jakiś czas utknął. „My, Amerykanie, zawsze musimy wracać do europejskich korzeni. Pomyśl o Hemingwayu i Doss Passossie i Fitzgeraldie. Wielka podróż za ocean jest jak szczytnieństwo na ośpie; każdy powinien je przeżyć”. Jego ojciec ma hucłownie cytrusowych owoców. Mike jest polonkiem Irlandczyków. Ma szwabią twarz, niebieskie oczy i gwałtowne usposobienie. Przy okazji poszukuje w Polsce cieni niedawnych sensacji.

David — lat 34, także z Miami. Ma długie włosy związane z tyłu gumką, duży, złamany nos i wielkie czarne oczy pełne niepokoju. Jego semickie praźródła nie budzą żadnych wątpliwości. „To jest w pewnym sensie także i moja ziemia”. (Przyjechał zobaczyć Majdanek). „Część naszej historii zamknęła się tutaj”.

Aila — lat 24, jest stenotypistką w fińskim MZS. Przybyła odwiedzić przyjaciółkę — Halinę. Ma długie, różowe włosy i pełną figurę. Dobrze, że jest z nami. Neutralna jak jej kraj, sprowadzi emocje, jeśli będą, do właściwych proporcji.

Ford fiesta na rzymskiej rejestracji, granatowego koloru z czerwonymi kreczami nad progiem. Zgrabny i szybki. Przeżył pół Europy. Bez problemów.

Ruszamy.

— Aila przybliżyła nam was trochę. Jest tu już trzeci raz — mówi Mike, zapalając papierosa. — Ale najważniejsze było wczorajsze gadanie. — Teraz o tym nie mówimy — odzywa się David. — Pokaż mi drogę — zwraca się do mnie. Prowadzi pewnie i zdecydowanie. Jedziemy Lipową, a potem Drogą Męczenników Majdanka. — Włochy są dobrym wstępem do Polski — zdąży jeszcze powiedzieć Mike. — Tam siedzi wasz papież. Tylko wasza pizza jest podła. Pusty plac obozowy, wieże strażnicze z czarnego drewna, ciemne prostokątne baraków i ogromny kamienny obelisk są już przed nami. — Nie wzięłam aparatu — mówi David wysiadając. — Myślę, że nie

— Pomnik zostawimy sobie na koniec — mówi David i przez wąski pasek zieleni podchodzi blisko drutów.

— Sądziłam, że cały obóz jest większy — mówi do mnie Aila. — Tylko nie zrozum mnie źle — i dotyka mego ramienia.

David powraca na ścieżkę. Mijają nas inni ludzie; jakiś starszy pan z małym dzieckiem, dwóch młodych chłopaków i cała pięciosobowa rodzina. Myślę o tym, czy to dobrze, że tak tędy chodzimy i że dziewczynka sse lizaka. Nie pierwszy raz zawodzi mnie w tym miejscu zdolność oceniania.

Jest 15.40. Wchodzimy do pierwszego baraku. Łaźnia i komora gazowa.

Sobotni spacer

Wiesław Horabik

— będzie mi potrzebny. Może to nie nadaje się do fotografii.

Grupki młodych ludzi i indywidualni turyści przemierzają asfaltowe drogi. Szeroki, popołudniowy wiatr przynosi zapach impregnowanego drewna, starości i odległych pól. Jest w tym powiewie także jakby uczucie opuszczenia i samotności. Może David również je czuje. Aila i Mike idą za nami, szepejąc chichotliwie.

„Wy, Polacy, jesteście obciążeni samoudręzieniem — powiedziała mi wczoraj. (Użyła określenia: self-pity). — Litość nad sobą nie pozwala wam żyć. Wybacz, ale to mnie przeraża. Nigdzie nie widziałam tylu filmów o wojnie. Może dlatego jesteście tacy smutni. Na dłuższą metę to ogromnie męczy”.

Aila angielskie „sz”, wymawia jak „s”.

Najpierw kierujemy się w stronę baraków. Słońce znowu wysuwa się zza chmur, a nieruchome kałuże wody z poprzedniego deszczu przybierają niezdrowy kolor lajny. Idziemy wąską ścieżką wśród wydeptanej trawy.

Na chropowatej betonowej podłodze leży samotny goździk. Nic już nie mówimy. Oczytujemy z tablicy wyjaśnienia. Zapach tych wnętrzy jest dręczący.

Zwirowana alejka i znowu odrobina słońca. Patrząc ukradkiem na moich towarzyszy. David spogląda gdzieś ponad moją głowę, jak gdyby oceniał wielkość tej równiny. Aila odgarnia włosy niedbałym ruchem ręki. Wydaje mi się, że Mike mruczy cicho jakąś melodię.

Barak drugi. Ogromnie powiększone zdjęcia anonimowych ludzkich twarzy na tle drutów. Cyfry i wykazy. Nieruchome flagi wielu krajów. Amerykańska schowana w drugim rzędzie, po lewej ręce. W środku makieta obozu. Potem jeszcze czapki i buty w drucianych kontenerach, powyginane ramy samochodów służące wtedy jako ruszta palenisk, małe krematorium i samotny w półmroku słup z nieruchomą pętlą sznurowa. Jakaś kobieta przekomarza się na progu z malcem. Za nami podąża wielosobowa wycieczka dziewcząt. Mike jakby odpychał te głosy ruchem

ręki. Jest skupiony i dokładny. Każdy ekaponał ogląda długo. Znowu odrobina słońca i smak powietrza pozwalającego oddychać. Za naszymi plecami stukają ciężkie kroki i skrzypią deski podłogi.

Wchodzimy na trzecie pole. Po lewej ręce, ze słosu rozrzuconego w niedłuzie drewna odtwarzany jest barak 2. Świeża podmurówka odkrywa nagle rzędy cegieł. David patrzy chwilę w tamtą stronę.

— Ja wiem, że to rekonstrukcja — mówię po chwili. — Ale nie powinniśmy teraz tego robić. Może kiedyś, jesienią... Wiem, że są ludzie wątpiący w autentyczność tego miejsca.

Są to pierwsze słowa jakie wypowiedział od początku naszego marzu przez obóz.

Nikt nie mówi nic więcej.

Teraz w blokach piętrzą się rzędy drewnianych przycz. Na barłogach leżą nadbutwiałe, parciane sznury. Przez odrutowaną bramę wychodzimy na główną alejkę i skręcamy w prawo. W ciemniejące niebo sterczy ceglany komin krematorium. W szklanym sarkofagu, z obudową z wyszlizganego drewna, bieleją słoty ludzkich kości. Leżą tu wiązanki kwiatów i wieniec z niemieckim napisem na zielonej szarfi: „Nieder... Krieg...” Rzędy pieców i łaźienka komendanta. Aila wychodzi pierwsza. Stoimy pod kopułą z kamienia. Na obrzeżu napis: „Nasz los dla was przestroga”.

— Wracamy — mówi David.

Dochodzi siedemnasta.

Coraz więcej ludzi na szerokiej alei. Schodzimy na chodnik, by przepuścić wycieczkowy autokar. Mijamy rzędy strażniczych wieżyczek z odjętymi schodkami, by nie kusiły zwiedzających. W jednej z wież jest rozbita szyba. Kiedy tylko zbliżamy się

Dokończenie na str. 7

Kurs w Magdeburgu

Waldemar Michalek

LUKOWE przestała żelaznego mostu wydawały się zahaczać o puszyste chmury. Późne sierpniowe słońce prażyło jeszcze niczym w pełni lata. Pod ich stopami płyła Laba — wartko i szeroko. Pochylali się głębooko w dół, jakby w lustrze szukając swojego odbicia.

Jej piękny profil i naturalnie falujące włosy, spięte aksamitką, przypominały klasyczne rzeźby z pergamońskiej galerii. On — mniejsza o szczerzy, palił fajkę. Nabijał uporeczywie tytoń i co rusz sięgał po zapalki. Wiatr robił swoje i fajka nie ustannie gasła. Zaciśnięta w obu dłoniach i przybita do ust jak piskiel, na które się z czułością chucha, ale które również gezeje. Z fajką nigdy się nie rozstawał. Miała przynosić szczęście i mocno w to wierzył. Otrzymał ją kiedyś od młodego sławisty, studenta z Minnesota University, którego uczył języka polskiego. Piękna, oryginalna fajka budziła zainteresowanie nie tylko palaczy. Miała drewniany, ale niezwykle twarde, zdobiony tajemniczymi hieroglifami cybuch, a na nim mocno osadzona główka z czerwonego kamienia. Mawiał z uśmiechem: „To nie fajka, to liturgiczne naczynie”.

Na dalekim poboże ładowano z halasem na barki jakieś skrzynie. Po prawej stronie rzeki ciągnął się długi, zielony pas zielonego parku. Na moście trwał zwykły ruch. Przejeżdżały tam i z powrotem niebieskie „ikarusy” komunikacji miejskiej, ciągnęły sznury samochodów osobowych, a wśród nich zielone pojazdy wojskowe z charakterystycznymi na maskach i tylnych pomostach białymi literami: SA. Siedzący w odkrytych „gazitkach” młodzi żołnierze uśmiechali się po słowiańsku, od ucha do ucha, bardziej zwracając uwagę na stojącą przy nim dziewczynę niż na to, co działo się na jezdni. Oparta rękę na jego ramieniu, przytuliła się do twarzy. „Chodźmy” — usłyszał.

Po przedpołudniowych zajęciach wybierali się często całą gromadą na wycieczki do miasta — na spacer spacerem po Labie lub wypuszczali się nad

szkuczne jezioro, gdzie arktycznie zimna woda skutecznie studziła ich dowcipy i pomysły. Oni jednak najchętniej błądzili po obcym mieście we dwoje. Dotykali zachłannie romańskich rzeźb, krążyli po klasztornych krużgankach pełnych epitafiów i płaskorzeźb, wsłuchiwali się w echo słów odbijanych o sklepienia potężnej katedry.

— Zgasz fajkę, przecież jesteśmy w kościele. — Musisz wiedzieć, że najpierw była fajka, a później...

— Tracisz ze mną tylko czas, próżny trud! — Spójrz na tę kamienną matronę, ma twój uśmiech, jest piękna.

— A to chyba Murzyn? — To święty Maurycy, uważaj bo ci się przyśni!

Ocalale resztki starego miasta wyprowadzały ich na zielone bulwary. Z dala od ludzi odnajdywali się. W bujnej i soczystej trawie byli wolni i tylko dla siebie. Obok płynęła wielka, milcząca rzeka — tylko jej oddawała swoją obecność. Miasto żyło daleko poza nimi.

Poznali go przypadkowo. Mieli ochotę na dobre piwo. Dosiedli do wspólnego stolika. Czytał gazetę, a właściciel ukryty w gązecie tomik wierszy „Poeta” — pomyślała i z sympatią obserwowiała jego schillerowski profil. Piwo smakowało wyśmienicie. Na imię miał Kurt. Butelki mieszały się na stole, więc pili razem i nawzajem sobie fundowali. Był późny, ale ciepły wieczór. Podświetlone fontanny i dywany żywych róż nadawały opustoszałemu placowi bajeczny wymiar. Postanowili ich odprowadzić, później to samo zaproponowali jemu, w końcu przemierzali tam i z powrotem bulwar nad Labą, klucząc między resztkami twierdzy.

W czasie nie kończących się rozmów o gwiazdach i podróży — marzyła już o wygodnym łóżku z chłodną poduszką przy policzku — Kurt niespodziewanie zapytał:

— Czy wiecie, że w tych kazamatach więziono waszych przywódców, Kraszewskiego i Piłsudskiego?

— Skąd ty o tym wiesz?

— Lubię wiedzieć więcej niż inni, poza tym jestem Niemcem i mam dobrą pamięć.

— My też mamy dobrą pamięć, tu w Magdeburgu były niemieckie obozy pracy także dla Polaków, wielu z nich tu właśnie zginęło.

— Tak, była wojna, a w 1945 zombardowali ich Amerykanie.

— Przez pamiłkę.

— Pamiłki i wojny — to także nasza wspólna przeszłość. Pamięć i przyszłość oto sens mojego pisania, moich wierszy...

Rozstali się na wielkim moście. Z fajki sypał się przyjemny, zmysłowy aromat.

— Och, jak chciałabym być już w łóżku. Dał pociągnąć!

— A znasz bajkę o kocie?

Trzymając się za ręce, pobiegli w stronę domu.

Nie pamiętała, aby kiedykolwiek się uraowali, ale co drugi dzień, kiedy mieli wolne popołudnia, spędzali wspólnie, we troje, długie godziny przy piwie. Mówili o poezji nieskończenie — wszystko dla nich było poezją, a dziewczyna była ich duchem opiekuńczym i musza. Cieszyła się bardzo, kiedy uzgodnili wspólną wycieczkę do Weimaru. Kurt zastrzegł sobie, że funduje im ten wyjazd. Bardzo było to im na ręce — kończyły się wakacje i marki także. Widzieli już siebie w Weimarze w roli, przynajmniej, romantycznej Charlotty. Nastąpił wreszcie dzień, kiedy wszystko to się stało. Wrócili uskrzydleni poezją Kurt patrzając w jej oczy, powiedział: „Za mało mamy smutnych wierszy — za mało złamanych serc”. Tylko się uśmiechnęła. Wtrzymała jego spojrzenie, i znowu długo rozmawiali się na moście.

— Chciałbym wam coś dać na pamiłkę — powiedział i wyciągnął zza białej plik maszynopisów. — To wiersze, które wspólnie czytaliśmy.

— Kurt, stary przyjacielu oto mój talizman, to, co mam w tej chwili najcenniejsze — fajka — wiesz, że to szczęście, niech będzie z toba i twoja poezja. Pamiłką, to wyjątkowa fajka! Niech ci sprzyja!

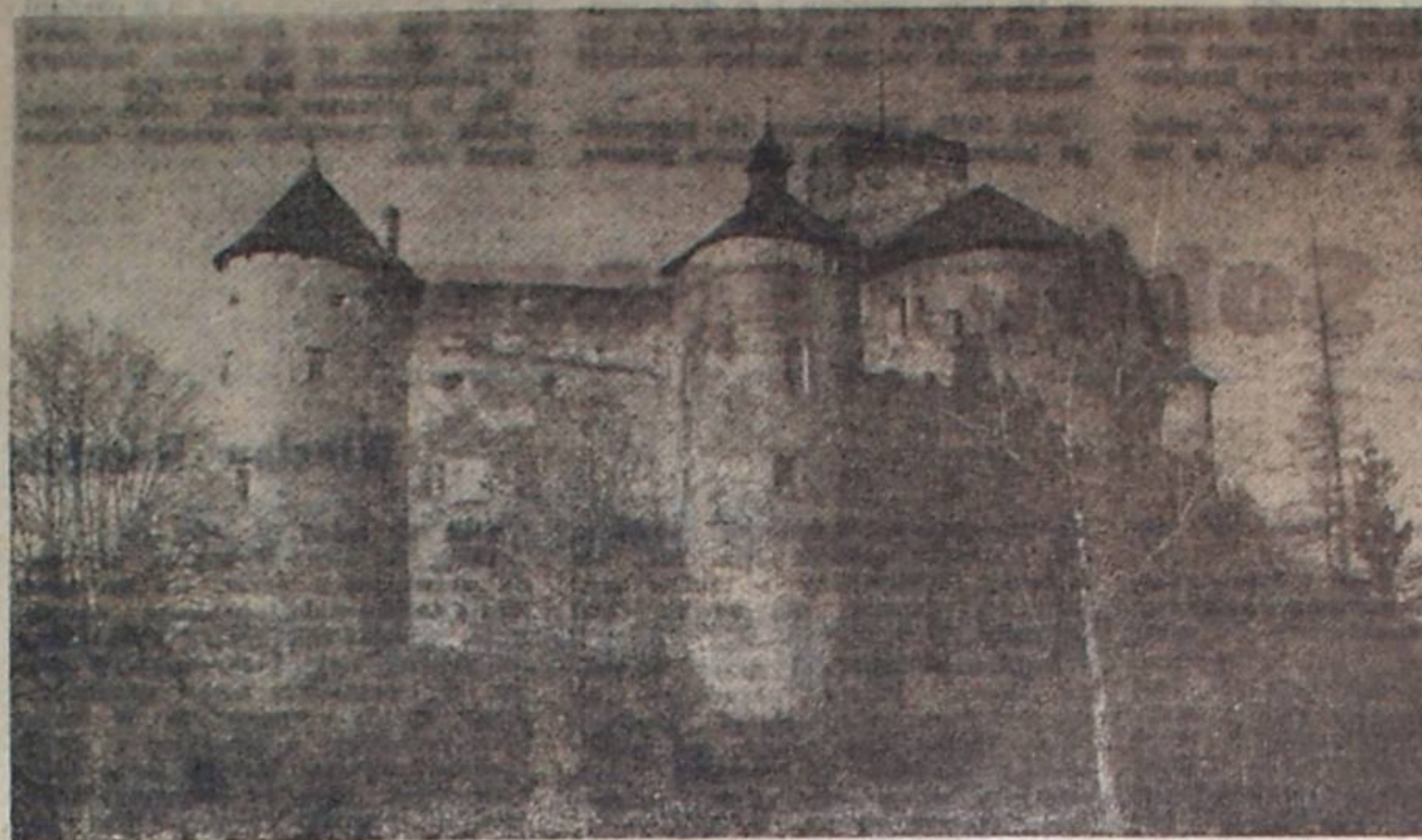
Całowali się jak bracia.

— Tschüss! — Ucisnął ją mocno.

— Tschüss — odpowiedziała.

Widok z zamku

ROZMOWA Z KURATOREM ZAMKU W NIEDZICY
DR. STANISŁAWEM MICHALCZUKIEM



Fot. Henryk Pieczul

— Kiedy poznaliśmy się trzydzieści lat temu, byłeś młodym asystentem w sekcji Historii Sztuki na Wydziale Humanistycznym KUL i członkiem plastycznej grupy „Zamek”, o której zaczynało być w Polsce głośno. Po latach pracy naukowej na uniwersytecie przeszedłeś do Pracowni Konserwacji

Zabytków w Lublinie, a w 1972 r. objąłeś funkcję zastępcy dyrektora do spraw naukowo-konserwatorskich w oddziale PKZ w Kielcach. Teraz, od ośmiu lat, pracujesz i mieszkasz w niedzickim zamku, nad Dunajcem, na polskim Spiszu, sprawując dyrekcję nad tym zabytkowym obiektem, tutejszym muzeum

oraz mieszczącym się w zamku domem pracy twórczej Stowarzyszenia Historyków Sztuki. Strasznie stąd daleko, znad samej południowej granicy Polski, do Lublina...

— Wcale nie tak daleko, jak ci się wydaje. Autobusem z Czorstyna przez Krośnice i Nowy Sącz — trzysta pięćdziesiąt kilometrów; dziewięć godzin podróży. I wcale nie straciłem kontaktów z Lubelszczyzną. W Chełmie, gdzie spędziłem dzieciństwo, mieszka moja rodzina, w Lublinie — i rodzina i wielu kolegów, i znajomych z dawnych lat, z którymi jestem w stałym kontakcie. Uczestniczę w każdym zjeździe koleżeńskim absolwentów Liceum im. Stefana Czarnieckiego w Chełmie, odwiedzam dawnych profesorów — moją wychowawczynią i polonistkę Zofię Książek. Bardzo związany byłem ze zmarłym profesorem Kazimierzem Janczykowskim, któremu zawdzięczam rozmiłowanie w sprawach przeszłości kraju, w przyrodzie zabytkach. On, jak rzadko który nauczyciel, potrafił zaszczepić młodym ludziom takie zainteresowania na całe życie. I przyznam ci się, że teraz, chodząc po Spiszu i ratując, co się jeszcze da z jego przeszłości i jego kultury, zanim to wszystko zaleje (dosłownie i w przenośni) przysięgam „jezioro czorstyńskie”, wciąż jakbym czuł przy sobie obecność Kazimierza Janczykowskiego...

— Ale wróćmy do kontaktów z Lubelszczyzną. Mówiłeś, że często odwiedzasz Lublin.

— I vice versa: bardzo wielu lublinian odwiedza Niedzicę. Na przykład oprawę plastyczną do stałej ekspozycji, ilustrującej dzieje niedzickiego zamku, wykonał przed dwoma laty lubelski artysta Krzysztof Kurzątkowski. Od kilku lat przewodnikami sezonowymi w zamku są studenci historii sztuki KUL. Pracę mają tutaj nielekka, ale dającą satysfakcję. Spotykają tu mnóstwo ludzi z całej Polski. Nie zapominaj, że choć zamek pozornie leży na uboczu, to w ciągu roku przez zamkowe muzeum przewija się około 120 tysięcy zwiedzających. Niezależnie od zabytkowych walorów i atrakcyjnego umiejscowienia w cudownym krajobrazie, u wrót do Pieniń, zamek leży po drodze do Sromowiec, gdzie zaczyna się spływ Dunajcem.

— Powiedziałeś w jednym z wywiadów, że zamek niedzicki stanowi jeden z nielicznych przypadków właściwego funkcjonowania obiektu zabytkowego w życiu społecznym, że może on być podęcznikowym wręcz przykładem życia zabytku.

Widok z dachu

Marta Denys

CO widać z dachu? Też mi pytanie! Widać szeroko i daleko. A bliżej? No, dachy widać, płaskie i strome. Całe połacie czerni, szarości, czerwieni, gdzieś na wieżach nalot patyny. Nowa, świeżą jeszcze blacha puszcza w słońcu do nas „zajęczki”. Widok z góry na dachy Lublina i owszem, godny jest pędzla malarza pejzażysty. Bardziej jednak przydałaby się tu... dekarzka szczerotka.

Więc, co widać z dachu? Patrząc nawet niewprawnym okiem, widać, że wiele dachów Lublina jest starych, zardzewiałych i zaniedbanych. Owe połacie czerni to wysuszone, niewiele już warta papa, połacie szarości to blacha, z której cynk dawno już spłynął z deszczem, połacie czerwieni to ostatnie już chyba dachówki na lubelskich dachach. Coraz ciszej o ich produkcję, a przecież spłynęły kiedyś krajowe dachówkarnie. Smutny pejzaż ożywia nieco zieleń patyny. I chwala Bogu, że choć to najszacowniejsze dachy i wieże pokryte zostały miedziową lub tylko miedziowaną blachą. Poleży ona dobre cztery wieki. Więc póki co, administracja i gospodarze będą mieli z tymi dachami spokój, a użytkownicy suche sufity. O ile nie zaczną wylazić spod patyny rdza.

Jakie to wszystko prozaične — powie ktoś. Niech mówi, na zdrowie mu. Na dachu tymczasem, jak w krzywym zwierciadle, odbija się rzeczywistość i problemy, do których jakbyśmy się nie widząc już sposobu na ich rozwiązanie, przyzwyczaili. No, cóż — trudności, kryzys, brak. „Zakłeta” trójka wygodnej niekiedy niemocy. Cieknie z dachu? No to się załata. I tylko załata, bo dalej latami nie konserwowane na bieżąco, dachy schną i rdzewieją.

Naprawa 1 metra kwadratowego blaszanego dachu wraz z materiałem kosztuje 1200—1500 złotych. Gdyby tak tę samą blachę, zanim do reszty zardzewieje, pociągnąć wcześniej zwykłą emulsją uszczelniającą, to koszt tej prostej konserwacji zamykałby się w cenie 1 kilograma dacholeum, tj. około 70 złotych z groszami. Osiem metrów kwadratowych blaszanego dachu można spokojnie tą ilością emulsji pociągnąć. Ale po co zadawać sobie taki trud, lepiej wymienić całe poszycie. Tyle, że wymienić też nie ma na co, bo brak blachy... A lepek i papa jest? Też nie ma.

Co zapobiegliwsi dekarze przepatrują każdy kawałek starej blachy i papy, zanim je zdejmą. Z tej pierwszej można jeszcze coś wykrócić, z tej drugiej — wydłubać chociaż papowe gwoździe, których z całym opakowaniem świec nadaremno by szukać w sprzedaży. Więc czym kryć? Kiedy na jednym z gminnych zebrań zdesperowani gospodarze naparli na naczelnika, ten, niewiele już mogąc im pomóc, również z desperacją w głosie zawołał: „Chłopy, kryjcie słomą!” A w miastach?

Koło się otwiera i zamyka, coraz to bardziej kwadratowięjąc. Dlaczego brak tego cholernego na przykład lepiku?

Już na spokojnie rozmawiam o konserwacji i remontach dachów z panem Andrzejem Kuźmą z Wielobrankowej Spółdzielni Rzemieślniczej w Lublinie. Prowadzi on jedną z brygad dekarzskich więc problemy te na co dzień są mu znane.

— Dlaczego brakuje lepiku? Widać — konstatuje to z wyjaśnieniem pana Andrzeja — zaszkodziła mu... reforma. Rafinerie, produkujące lepek, w ramach szukania oszczędności sięgnęły do tak zwanych rezerw prostych. Co oznacza, że wszystko to, co pozostaje po destylacji, producent, zamiast wlać do beczek i przekazać budownictwu, kieruje z powrotem do produkcji, do ponownego wyekstrahowania resztek i pozostałych składników lotnych. I dopiero

to, co zostaje, idzie do beczek na lepek. Produkt ten jest tak „wartościowy”, że Ministerstwo Budownictwa i Materiałów Budowlanych musiało podjąć decyzję, iż z uwagi na obniżenie się jakości materiałów pokrywanych, należy czasowo, aż do odwołania — a wiemy, że co czasowe, to raczej trwale — stosować trzykrotne krycie dachów papą, zamiast obowiązującego według normy branżowej dwukrotnego kładzenia tego materiału w inwestycjach nowo wznoszonych lub przy remontach kapitalnych. Co z tego wynika? Większy koszt remontów i inwestycji. Metr kwadratowy dachu po trzykrotnie kryty papą zrównuje się z ceną blachy wypadającej na tę samą powierzchnię.

— Ale — pociesza mnie pan Andrzej Kuźma — są środki i sposoby na przedłużenie „żywności” papy. Oto, współpracując z Miejskim Zespołem Ekonomiczno-Administracyjnym Szkół w Lublinie, uzyskał zrozumienie dyrekcji dla zastosowania specjalnej konserwacji pokryć papowych istniejących na rynku preparatami. Sposób ten w znacznym stopniu przywraca papie szczelność i elastyczność, przy doprawdy niewielkich nakładach finansowych.

A co się dzieje z dachówką? Wymaga ona, jak wiadomo, wysokiej jakości gliny, nie wszędzie jednak występującej. Produkcja dachówki, najczęściej półręczna, jest pracochłonna, a transport na duże odległości tego kruchego materiału — ryzykowny. Oplacalność więc niewielka. Stąd też liczne oferty w branżowej prasie o wyprzedaży maszyn do produkcji dachówek.

Były próby — wcale udane — produkowania dachówek z cementu, z możliwością ciekawszego jej barwienia, na przykład na brązowo, zielono lub tradycyjnie na czerwono. Chęci były, ale zabrakło z kolei... cementu.

No, można jeszcze produkować dachówki w oparciu o zagraniczne, wysoko zautomatyzowane maszyny i urządzenia. Można. Oprócz gliny potrzebny jest tu jeszcze wsad. Dewizowy. Więc już tylko w obcych stronach przyjdzie nam podziwiać glazurowaną i w kolorach tęczy dachówkę.

U nas przemija już i wiedza, i sztuka o jej wyrobie i kładzeniu. Kto z młodszych stałem dekarzy odróżni „esówkę” od „mnicha-mniszki”, „helen-derkę” od „karpiówki”? Nie mówiąc już o lupku angielskim?

Zapotrzebowanie na dachówki jest jednak duże. Same tylko Pracownie Konserwacji Zabytków na „piu” wykupywały wieloletnie ich zapasy i produkcję. A dachówkarni — blisko położonych, lokalnych — brak.

Glinę można zastąpić blachą. Dachówki z blachy również są poszukiwane i znalazłyby się ich producenci, gdyby była... blacha.

I że — nawiasem mówiąc — zawdzięcza on to m. in. faktowi, iż od 1949 r. znajduje się w gestu jednego właściciela, w rękach Stowarzyszenia Historyków Sztuki. Uważasz, że średniowieczne zamki nadal mogą być żyjącymi obiektami?

— Oczywiście. Od ośmiu lat mieszkam tu razem z żoną i dziećmi. Tutaj oboje pracujemy, tu jest nasz normalny dom. Tu mieszkają przybywający z całej Polski, aby pracować i odpoczywać, historycy sztuki, architekci, pracownicy uniwersytetów, muzeów, pracownicy konserwatorskich, tu odbywają się zjazdy i sympozja naukowe. W oknach zamku wieczorami widać światła, słychać odgłosy z kuchni i sali jadalnej na dziedzińcu suszy się pranie. Jest też niedzicki zamek, centrum kulturowym dla całego polskiego Spisza.

Ale zagadnienie życia zamków, ich żywej obecności w dniu dzisiejszym, należy rozumieć w dużo szerszym, bardziej ogólnym wymiarze. Oczywiście, średniowieczne zamki dawno utraciły swoją pierwotną obronną funkcję i znaczenie forteczno-militarne, większość z nich leży w gruzach. Te jednak, które zostały utrzymane w czasach nowożytnych w charakterze rezydencji i przystosowane do takich właśnie celów — dotrwały do naszych czasów, stając się zabytkami przeszłości historycznej i kulturowej; dziś odgrywają jednocześnie ogromną, żywą rolę w obronie największych narodowych wartości. Są dokumentem przeszłości państwa. A wszak bez tradycji naród, odcięty od korzeni, traci swą świadomość, przestaje istnieć. Zrozumiałe zatem staje się dążenie każdego narodu do odbudowy — po wojennej zagładzie — najcenniejszych swoich zabytków, pomników własnej przeszłości. W wypadku Polski restauracja Wawelu to symbol odbudowy państwa polskiego po I wojnie światowej i odzyskaniu niepodległości. Odbudowa Zamku Warszawskiego to symbol odbudowy kraju po II wojnie.

— Bardzo późno wzięto się do tej odbudowy Zamku w Warszawie.

— Ale jednak wzięto się w końcu i odbudowano go! Co potwierdza to, o czym mówię.

— Gdy słucham tego wszystkiego — mając równocześnie świadomość, że u stóp niedzickiego zamku rosną coraz wyżej konstrukcje przyszłej zapory, która spiętrzy wody Dunajca, a powstałe w ten sposób ogromne jezioro zaleje Maniowy i Czorsztyn oraz podniósł zamku Niedzicy — robi mi się smutno.

— Tak. To będzie straszna, niepowetowana dewastacja, zresztą widoczna „w swej wstępnej fazie” już dzisiaj. Jeszcze Wincenty Pol, składając przed laty wizytę Marcelemu Drohojowskiemu w należącem do niego Czorsztynie, powiedział, że to

najpiękniejsze miejsce w Polsce. I teraz owe „najpiękniejsze miejsce” ma zapasć się pod wodę!

Najtragicznierze jest to, że cała ta inwestycja, z każdym rokiem traci swój zamierzony cel, wymaga poszerzenia założeń i rozwiązań projektowych i ogromnych dofinansowań.

Ale to nie wszystko... Obecnie — przyszłe „jezioro” ma nieuniknioną „szansę” stanąć się „gigantycznym dołem kloacznym”. Już teraz z całego Podhala, z Gorców, z przyległych wzgórz i położonych na nich wsi spływają do Dunajca wszelkie brudy i nieczystości. A co będzie, gdy wody zostaną spiętrzone i zatrzymane czy też unieruchomione w necie przyszłego zbiornika retencyjnego? Jeżeli nie powstaną w odpowiednim czasie odpowiedniej wielkości oczyszczalnie ścieków to, — powtarzam — będzie tutaj, u naszych stóp kloaka. A nie żaden — jak to się teraz projektuje — zbiornik wody pitnej dla Krakowa i Śląska! Zresztą do obecnej chwili — gdy wyznacza się już nawet datę rozpoczęcia spiętrzenia wód Dunajca — nie przystąpiono jeszcze do opracowywania dokumentacji systemu odprowadzania stąd wody w kierunku Śląska i Krakowa a dopiero w sferze wstępnego rozpoznania jest sprawa budowy oczyszczalni ścieków dla Nowego Targu, wsi podhalańskich i części Zakopanego!

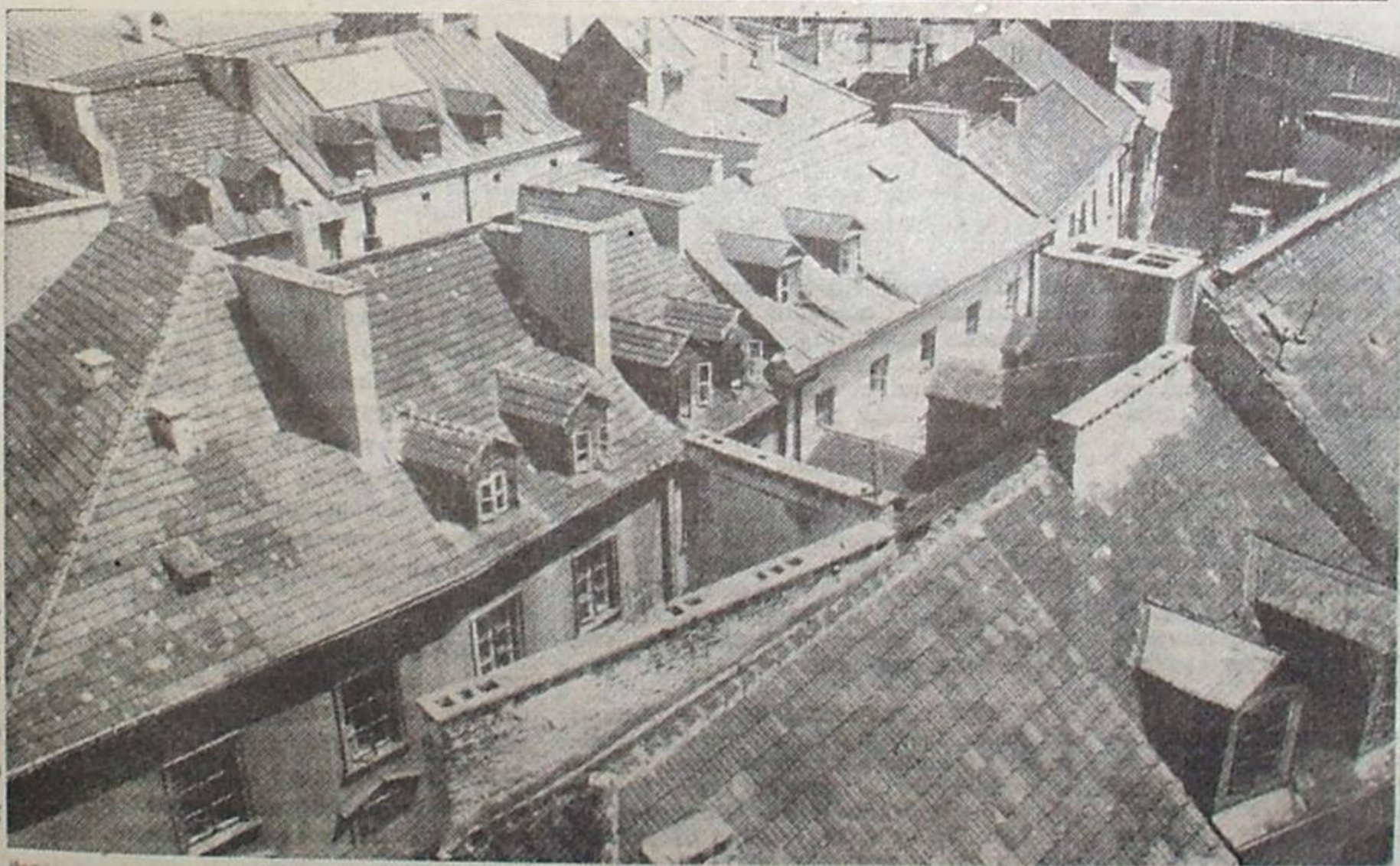
— Nad czym pracujesz aktualnie?

— Nad poznaniem, przeszłości zamku niedzickiego i terenów z nim historycznie związanych. Poza tym staram się udokumentować i ocalić od zapomnienia historyczne obszary które zginą raz na zawsze pod wodami zbiornika czorsztynskiego. Poza niepowtarzalnym krajobrazem pierwszych przełomów Dunajca w rejonie Czorsztyna — zginą historyczne tereny samego zamku czorsztynskiego: średniowieczna sieć drożna, nowożytny folwark zamkowy i XIX-wieczny dwór z parkiem i folwarkiem Drohojowskich. Właśnie przygotowałem do opublikowania esej pt. „Dwór w cieniu zamku” przedstawiający patriotyczną i ziemiańską działalność Marceliego Drohojowskiego, którego bohaterskie i pracowite życie wypełniło w Czorsztynie prawie całe XIX stulecie. A w opracowaniu mam problem zmiany wartości zamku czorsztynskiego, który właśnie w momencie swojego upadku (1790 r.) rozpoczął — paradoksalnie — okres największej swojej chwały stając się obiektem uniesień poetów, pisarzy i muzyków doby Romantyzmu, opiewających jego urok na tle niezapomnianego piękna Pienin. To studium będzie miało tytuł: „Zamek Czorsztyn w okresie upadku i chwały”.

— Dziękuję za rozmowę. Jeszcze jedno pytanie: jest pora wakacji, dokąd wybierasz się na urlop?

— Na Lubelszczyznę. Do Janowca nad Wisłą.

Rozmawiał: Mirosław Derecki



Fot. Robert Lipski

A gont? Okręgowe Przedsiębiorstwo Rozpowszechniania Filmów ogłosiło niedawno przetarg na wymianę gontu na dachu dawnej synagogi w Kazimierzu Dolnym (obecnie jest to budynek kina). I co? Nikt się nie zgłosił. Nikt. Może Wielobranżowa Spółdzielnia Rzemieślnicza w Lublinie postara się coś w tym kierunku zaradzić?

Jak jest pięknie położony przez pana Stefana Butryna gont na dachu Chaty Stefana Zeromskiego w Nałęczowie! Jak łuska układa się po krzywiznach i stromiznach tej podhalańskiej w stylu budowli! A przecież pan Stefan Butryn nie jest dekarzem, a kustoszem tego muzealnego obiektu. Jak widać, pewne rzemieślnicze sztuki i sposoby w narodzie nie giną. A piękny gont wyrabiany jest między innymi w okolicach Bilgoraja.

Moglibyśmy jeszcze rozwinąć wątek słomy... Ale ważniejszy jest problem stosowania we współczesnym budownictwie stropo-dachów o niewielkim

albo żadnym spadku, odejście — przy nieszczęśliwych rynnach — okapów i innych stromizna odprowadzających wody opadowe na zewnątrz budynku.

Co dzieje się w przypadku niefortunnego zaprojektowania odwodnienia powierzchni płaskich — zobaczyć można gołym okiem na budynku przedszkola przy ulicy Balladyny. Owszem pomyślano tam o rynnach a właściwie o półrynnych, takich — jakby to wytłumaczyć — półkorytkach. Może po nich ściekać deszcz, a nie ulewa. Woda rozbrzgując się obficie i szeroko, zawilgoć elewację, która odlaty aż do żywego belitu. Instalacje elektryczne także nadają się już tylko do wymiany. Żadnym zmyślnym półrodkiem, półrynna, półkonstrukcją wody się nie oszuka. Ona zawsze płynie z góry na dół.

A tymczasem wizja Krakowskiego Przedmieścia krytego słomianą strzechą staje się coraz bliższa...

Henryk Makarski

**CORAZ SZYBCIEJ
— CORAZ WIĘCEJ**

Coraz szybciej się spieszymy,
coraz szybciej się spózniamy.
Własne cienie własne kroki
uciekają już przed nami.
Ogień ziemi a lód parzy,
zimny ogień i żar todu.
Człowiek człowiekowi cieniem
musi być, a cień nagrodą
przekleństwem. O, niewolo
cudzych gdań, cudzych pragnień.
Tak milcząca to wymowność
jak wymowne to milczenie
brata twego, gdy odwagi
aż na tyle mu starczyło
by pożegnać się z opinią,
rozstać się z pazernym cieniem.

ZE WSZYSTKICH

Ze wszystkich pieczęci najwyżej
bliższy pieczęć stołca.
Ze wszystkich podpisów największy
posłuch ma błyskawicy zygak.
Ze wszystkich mas najcierpliwsza
najściślej zjednoczona
jest szara masa
ziemi.

JUTRO

Kiedy kamienie poznikają w ziemi
a puste gwiazdy w jeszcze większej pustce
w której szybują od tysięcy wieków
(mądrość pokoleń w strzępach bioprądów)
kości się skurczą a krew zardzewieje —
być może wtedy woda się rozstąpi
pod stopą słowa pięknego jak prawda.
Lecz — czy ktokolwiek jeszcze pozostanie
by móc wymówić jakiegokolwiek słowa?

CHWILA ZWĄTPIENIA

Powiadasz: po cóż trudzić się po nocy
i tak chwil wszystkich nie policzysz.
Sekunda bólu w nieskończoność
trwa — a radości nikt nie mierzy.
Powiadasz: milczeć cisze, niżli oddech
to sposób na to żeby przeżyć.
by przetrwać w cieniu wrzących cieni
z czołem wysokim nade wszystko.
A cóż ponad to —
chleb?
igrzyska?

**POCIĄG PÓŚCIG
PĘD SZALEŃSTWO**

W zardzewiałych żyłach torów
tętni głodny smak powietrza,
jęk młodzińskich oczekiwań,
snów ucieczek snów rogoni.
Oto dyszy pożądaniem
pociąg pociąg pęd szaleństwa.
Już milionów drży krwawica
w szponach twojej twardej dłoni.
Mówisz „brudne ale złoto”.
Mówisz „brudne lecz miliony”.
A czy masz się z kim podzielić
tym bogactwem, nim roztrwonisz?

kamena

DOBIEGAJĄCY 37-letni Henryk Sienkiewicz pisał w liście z 1 lutego 1883 r. do młodszego od siebie, acz cenionego już historyka Uniwersytetu Jagiellońskiego, Stanisława Smolki: „Co do powieści wielkiej; ta będzie nosiła prawdopodobnie tytuł „Wilcze gniazdo”. Rzecz dzieje się za Jana Kazimierza, w czasie inkursji kozackiej. Źródłem mam dosyć — i od dawna nad tym pracuję. Może się uda”. Ale już w dwa miesiące później donosił mu, że tytuł będzie stanowczo zmieniony na „Ogniem i mieczem”. Taki bowiem pomysł podsunął Sienkiewiczowi jego przyjaciel, dziennikarz warszawski, Władysław Olendzi.

Co zadecydowało, że Sienkiewicz wybrał wojewodę ruskiego, księcia Jeremiego Michała Korybuta Wiśniowieckiego, jako bohatera wątku historycznego „Ogniem i mieczem”? Nie było w tym nic zaskakującego i dziwnego, wszak na męża opatrnościowego doby wojen kozackich kreowało wojewodę ruskiego w trzeciej ćwierci XIX wieku wielu badaczy. To przecież w 1880 r. stwierdzał ceniony przez pisarza szperacz po starych dokumentach, znawca dziejów Podola i Ukrainy, Antoni Rolle, w swej pracy „Zameczki podolskie na kresach multzańskich”, że gdy przyszły pierwsze klęski od Kozaków w 1648 r., wówczas wobec „samowoli i zbrodni umiarkowanej wszelkie prawo, wszelki głos sprawiedliwości; znalazł się jednak człowiek, który zaprotestował orężnie i jako straszny mściciel

matki chłopcem zapiekował się daleki krewny ojca, książę Konstanty Wiśniowiecki, wojewoda ruski. Konstanty Wiśniowiecki i jego rodzina byli wyznania rzymskokatolickiego. Jeremi wychowywał się razem z synami dalekiego stryja, z których dwóch, Jerzy i Aleksander, było jego rówieśnikami. Razem z nimi został wysłany na kilka lat do lwowskiego kolegium jezuickiego, tego samego, w którym nieco wcześniej uczył się Bohdan Chmielnicki, późniejszy przywódca powstania na Ukrainie i wróg polityczny Jeremiego Wiśniowieckiego. Po ukończeniu nauki cała trójka młodych Wiśniowieckich udała się zwyczajem ówczesnych synów magnackich na peregrynację zagraniczne.

Te podróże „turystyczno-naukowe”, „informacyjno-polityczne”, bo takimi były właśnie peregrynacje zagraniczne, zawierały w sobie wiele pierwiastków twórczych i kulturalnie płodnych. Otwierały szeroko drogę do nowoczesnej kultury i wprowadzały przybyszów nad Wisłę i Dniepru w kontakty intelektualne z postępowymi przedstawicielami myśli europejskiej, dawały możliwość dopełnienia wykształcenia, zwłaszcza w zakresie inżynierii wojskowej i fortyfikacji. Dla młodzieży magnackiej stwarzały ponadto możliwość osobistego poznania wielu dostojników dworu francuskiego, cesarskiego, papieskiego, weneckiego itp., co później — w okresie piastowania w kraju urzędów ministerialnych i sena-

Ukrainy, a nawet z rdzennych ziem polskich. W ciągu tylko pięciu lat, od 1640 do 1645, liczba gospodarstw poddanych wieśniaków i mieszczan w dobrach zadnieprzańskich Wiśniowieckiego powiększyła się o ponad 30 tysięcy.

Występy na arenie publicznej inaugurował Jeremi udziałem w wojnie z Moskwą w 1633 r., odrywając zagonami dywersyjnymi część wojsk przeciwnika od głównego teatru działań pod Smoleńskiem. Zasłużył sobie wówczas na przydomek „podpalacza”. W 1637 r. nie mógł uczestniczyć w tłumieniu powstania kozackiego, ponieważ pilnował spraw osobistych; był jednym z konkurentów do ręki młodzieńczej Gryzeldy Konstancji Zamoyskiej, córki kanclerza wielkiego koronnego Tomasza i Katarzyny z Ostrogskich. W momencie wyrażenia zgody przez rodziców na małżeństwo córki Wiśniowiecki liczył sobie 25 lat. Obrzęd zaślubin musiano jednak odłożyć z powodu śmierci Tomasza Zamoyskiego, która nastąpiła 8 stycznia 1638 r. Wobec zapadłej żaloby, dnia 13 lutego odbyły się ciche zaręczyny, ślub zaś przesunięto na rok następny. Po przeszło rocznej żalobie w niedzielę 27 lutego 1639 r. w kolegiacie zamoyskiej ceremonii zaślubin dokonał arcybiskup lwowski, Achacy Grochowski. Natomiast mowę weselną w imieniu kanclerzyny Zamoyskiej wygłosił jeden z najlepszych mówców ówczesnych, wojewoda bełski, Jakub Sobieski, ojciec przyszłego zwycięzcy spod Wiednia Ja-

żeraż zaczęła świecić pustką. Resztki swych zasobów finansowych wydał Wiśniowiecki na wojsko, wybierając się na kampanię berestecką, po której spodziewał się wrócić do swych dawnych dóbr. Zmarł w czasie wyprawy — 20 sierpnia 1651 r. na zamku w Pawołoczy, w wieku 39 lat. Zwłoki przewieziono do kościoła w Sokalu, a dwa lata później, w 1653 r., złożono je prowizorycznie u Benedyktynów na Świętym Krzyżu, gdzie już pozostały na zawsze. Syn Michał, zostawszy monarchą, ufundował ojcu w kościele świętokrzyskim tablicę z łacińskim napisem: „Hieremias Cosacorum terror — Dux et princeps Visnoviecius — Michaelis Primi Regis Poloniae Progenitor — A.D. 1653 depositus” [Jeremi — postrach Kozaków — wódz i książę Wiśniowiecki — Michał I króla polskiego rodzic — w roku pańskim 1653 złożony].

Po śmierci Jeremiego Wiśniowieckiego jego żona znalazła się w krytycznej sytuacji. Przede wszystkim nie było z czego spłacić olbrzymich długów. Rozpaczliwe położenie wdowy nie było tajemnicą. Sejmiki małopolskie poleciły posłom, aby długi, zaciągnięte przez Wiśniowieckiego w skarbie na formacje wojskowe, zostały umorzone i nie obciążały spadkobierców. Sejm przychylił się do petycji szlachty i darował

Sienkiewiczowskie rocznice

Kim był Jeremi Wiśniowiecki?

Adam A. Witusik



Jeremi Wiśniowiecki. Rysunek Józefa Tarłowskiego według partreciku z tableau wilanowskiego.

krzywd naszych wystąpił, był nim książę Jeremi Wiśniowiecki, czynny, przeczorny, odważny, poświęcający się, wytrwały, słowem ideał bohatera [...], do powieści historycznej nadać by się mógł łatwo”. Dalej Rolle rozwoził się o szaleńczej odwadze i waleczności Wiśniowieckiego w zmaganiach z Kozakami, w szczególności podczas oblężenia Zbaraża w 1649 r..

Kim był książę Jeremi, który tak wiele znaczył w historii Polski owych burzliwych lat 1648—1651, którego postać obrosła legendą, a jego syn Michał (którego ani zdolności, ani zasługi nie predestynowały do korony) zasiadł na tronie Rzeczypospolitej w 1669 r.; jak ocenić działalność wojewody ruskiego, zwłaszcza w trudnych latach wojny domowej na Ukrainie?

Jeremi Michał Korybut Wiśniowiecki, urodzony w 1612 r., pochodził z rodziny magnackiej. Jego ojcem był starosta owrucki Michał, a matką Raina z Mohylów, córka hospodara Moldawii, poślubiona przez Michała Wiśniowieckiego około 1605 r. Pierworodny książę starosta otrzymał po dziadku hospodarze moldawskim imię Jeremi, zaś drugie imię, Michał, otrzymał po Wiśniowieckich: ojcu i dziadku. Starosta owrucki, Michał Wiśniowiecki, i jego żona Raina byli żarliwymi obrońcami cerkwi prawosławnej i fundatorami licznych klasztorów dyzunickich. Posiadali dwoje dzieci: syna Jeremiego oraz córkę Annę, późniejszą żonę starosty lubelskiego, Zbigniewa Firleja.

Jeremi utracił rodziców bardzo wcześnie: ojca w wieku lat trzech, matkę w wieku lat siedmiu. Po śmierci

torskich — było im niezmiernie przydatne. Jednocześnie jednak ten sposób zdobywania wiedzy i doświadczenia sprzyjał powierzchowności, uleganiu modzie, stwarzał wreszcie niebezpieczeństwo niedoceniań własnej, rodzimnej kultury.

Młodzi książęta Wiśniowieccy przebywali w Rzymie, następnie w Mekce polskich studentów — Padwie (1629 r.). W maju 1630 r. wpisali się do albumu Uniwersytetu Bolońskiego. W drugiej połowie 1631 r. byli już w kraju. W drodze powrotnej zahaczyli o hiszpańskie Niderlandy, zwiedzając przede wszystkim fortece i zamki.

Wróciwszy z peregrynacji zagranicznych, dziewiętnastoletni Jeremi wyzwolił się spod opieki stryja. Przejął też administrowany dotąd przez niego majątek. W początkach 1632 r. młody Wiśniowiecki porzucił prawosławie, przechodząc na katolicyzm. Nie był tu wyjątkiem. Konwersji — i to o wiele wcześniej — dokonywało szereg innych przedstawicieli ruskich rodów. Decyzja Wiśniowieckiego wywołała wielką burzę na kresach, zwłaszcza wśród wyższego duchowieństwa prawosławnego. Mimo popełnionego odstępstwa od wiary przodków, książę nie był nigdy fanatykiem katolickim, z cerkwią utrzymywał poprawne stosunki, nie zmuszał poddanych do zmiany wyznania i nie szykanował prawosławnych.

Młody magnat kontynuował dzieło ojca i kolonizował Zadnieprze, a ściślej: dorzecze Suły, lewego dopływu Dniepru, nadane Wiśniowieckim w 1590 r., teren bardzo rozległy, niezwykle jednak rzadko zaludniony. Książę nie skąpił nowym osadnikom swych łask i swobód, przyciągając najbardziej odważne i przedsiębiorcze, ale jednocześnie i niespokojne elementy z całej

na III. Przez kilka miesięcy młodzi małżonkowie pozostali w Zamościu. Uroczyste przenosiny do domu księcia, który przygotował dla małżonki rezydencję w Białym Kamieniu, odbyły się 4 września 1639 r., uświetnione nową oracją wojewody bełskiego, Jakuba Sobieskiego. W niecały rok po przenosinach, 31 lipca 1640 r., w Wiśniowcu na Wołyniu Gryzelda Konstancja urodziła syna, któremu nadano imiona obu dziadków (Michał Tomasz) Michała Wiśniowieckiego i Tomasza Zamoyskiego. Właśnie to urodzone w Wiśniowcu dziecko w przyszłości ozdobiło swe skronie koroną królewską.

W 1646 r. otrzymał 34-letni Jeremi od króla Władysława IV wysoką godność senatorską — województwo ruskie i znalazł się w grupie tych, którzy rządili Rzeczpospolitą. Wcześniej, w 1638 r., Wiśniowiecki walczył przyczynił się do krwawego stłumienia powstania Kozaków pod wodzą Ostrzanina i Huni na Zaporozżu. W styczniu 1644 r. wziął udział w bitwie pod Ochmatowem zakończonej świetnym zwycięstwem hetmana koronnego Stanisława Koniecpolskiego nad Tuhaj-bejem i jego orzą, a w 1647 r. wyprawił się na czele własnych oddziałów przeciw Tatarom, chcąc ich nawiedzić w „własnym gnieździe” i dotarł aż do Perekopu — wrót Krymu.

Gdy w 1648 r. wybuchło powstanie Chmielnickiego na Ukrainie, dla Wiśniowieckiego nastąpiły ciężkie czasy. Jeremi podjął walkę z Kozakami i wspomagającymi ich Tatarami, chcąc zdławić powstanie siłą i jak najprędzej odzyskać swe ukraińskie posiadłości. Ponośli więc na wystawienie żołnierza spore koszty i szkatuła, niegdyś pełna,

długi. „Mając w pamięci odważne zasługi i śmierć w ekspedycji wojennej Wielmożnego Jeremiego Korybuta księcia Wiśniowieckiego, wojewody ruskiego — czytamy w uchwale sejmowej — sumy pewne, które nieboszczyk za żywota swego na ludzie swoje w służbie Rzeczypospolitej będące ze skarbu koronnego przebrał, powagą sejmku niniejszego potomstwu jego odpuszczamy”.

Prawdą jest bezsporna, co już podnosili znawcy biografii księcia: Władysław Tomkiewicz i Zbigniew Wójcik, że wojewoda ruski przeszedł poważną przemianę po katastrofie 1648 r. Z hardego i butnego magnata kresowego, nie liczącego się z nikim, niejednokrotnie łamiącego w sposób brutalny prawo, książę pod wpływem smutnych doświadczeń zawieruchy na Ukrainie stał się człowiekiem łnego pokroju, rozważniejszym, cierpliwym, potrafiącym hamować swą zarozumiałość, zawziętość i pychę. Nie oznacza to jednak, że działalność księcia od wybuchu powstania aż do śmierci w 1651 r. należy oceniać pozytywnie czy wysoko.

Nie ulega wątpliwości, że wiosną 1648 r. strona polska straciła bezpowrotnie jedyną szansę pokonania sił Chmielnickiego, a tym samym zlikwidowania w pierwocinach powstania na Ukrainie. Tą szansą było połączenie wojsk koronnych, spieszących naprzeciw armii kozacko-tatarskiej, z prywatnymi wojskami Wiśniowieckiego, znajdującymi się w jego dobrach na Za-

dnieprzu. Armia koronna liczyła około 15 tysięcy żołnierzy. Wojewoda ruski miał około 6 tysięcy. Faktem jest, że główną winę za niepołączenie się obu wojsk ponoszą dowodzący armią koronną hetmani, szczególnie hetman wielki Mikołaj Potocki, rezerwujący dla siebie sławę przyszłego zwycięstwa, w które bez podstaw wierzył. Doczekał się hetman Potocki dwóch drugoczących klęsk: swego syna Stefana nad Żółtymi Wodami i własnej pod Korsuniem oraz niewoli tatarskiej. Chmielnicki doskonale zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, które zaistniałoby, gdyby wojska koronne i Wiśniowieckiego połączyły się, kokietał zatem wojewodę ruskiego, jak umiał, byle tylko uspić jego uwagę.

Po przegranych nad Żółtymi Wodami i pod Korsuniem armia koronna została zlikwidowana. Wiśniowiecki znajdował się ze swym prywatnym wojskiem jeszcze na Zadnieprzu. Tymczasem fala wielkiego zrywu powstańczego ogarnęła całą niemal Ukrainę. Do Chmielnickiego, zwycięzcy nad Żółtymi Wodami i spod Korsunia, tłumnie szli nie tylko chłopcy, ale też mieszcianie, ruska szlachta i prawosławne duchowieństwo. Dla każdego było chyba widoczne, że tym razem to nie jakiś, o niewielkich rozmiarach, nowy kozacki bunt, ale potężne powstanie; na dodatek Chmielnicki potrafił zabezpieczyć sobie pomoc tatarską. I w tej sytuacji wojewoda ruski podjął decyzję walki z powstaniem i utopienia go w krwi przeciwnika, choć na pokonanie powstania absolutnie nie posiadał wystarczających sił, czego miał chyba świadomość. Wiśniowiecki musiał opuścić objęte ogniem i pożogą buntu Zadnieprze, była to bowiem jedyna szansa na uratowanie tysięcy ludzi — szlachty, katolickiego duchowieństwa, Żydów — z rąk pragmatycznych zemsty tłumów. Ale nie wolno mu było wbrew woli władz centralnych Rzeczypospolitej interweniować, bo rozniecał ogień powstania i uniemożliwiał porozumienie. Jeden z najbliższych współpracowników Chmielnickiego, słynny Krzywonos, stwierdzał w tym czasie: „Nie chcieliśmy więcej puścić ziemi polskiej, tylko że nam zajął książę Jeremi, że ludzi mordował, ścinał i na pal wbijał [...], popom naszym oczy świdrem kręcił [...] My [...], broniąc wiary i zdrowia swego, musieliśmy stać za swoja krzywda”.

Trzeźwo patrząc politycy Rzeczypospolitej, to znaczy głównie kanclerz wielki koronny Jerzy Ossoliński, wojewoda kijowski Adam Kisiel, król Jan Kazimierz, politycy dobrze znający ziemię, po której stąpają, widzieli jedynie wyjście dla państwa w porozumieniu z Kozakami, co w przyszłości oznaczało pojednanie polsko-ruskie. Jak słusznie twierdzi autor „Dzikich Pól w ogniu”, Zbigniew Wójcik, w 1648 r. rację miało, z historycznego punktu widzenia, tak zwane stronictwo pokojowe z kanclerzem Ossolińskim na czele, które przyszłość widziało w ugodzie z Kozakami, nie miało jej zaś stronictwo wojenne, któremu przewodził Wiśniowiecki, z tej bodajby przyczyny, że nie posiadało realnej siły do stłumienia potężnego powstania, wspomaganego w dodatku przez Tatarów. W 1648 r. nie było warunków do powtórzenia zwycięstw, jakie ongiś odniesiono nad Kosińskim (1593 r.), Nalewajką (1596 r.), Pawlukiem (1637 r.) czy Ostrzaninem i Hunią (1638 r.). Ale i wówczas nie potrafiono ostatecznie rozwiązać sprawy kozackiej. Nie miał zatem racji książę Jeremi, podpora i filar stronictwa wojennego.

Henryk Sienkiewicz, opisując w „Ogniu i mieczem” wojny z Kozakami i stan wewnętrzny Rzeczypospolitej, nie tak wprawdzie ani nieladu w państwie, ani wad magnaterii i szlachty, ani ucisku ludu; nie przemilcza okrucieństw Wiśniowieckiego, wliennie przytacza informacje pamiętnikarzy odnośnie tych spraw. Czasami pada nawet oflaga lojalności wobec źródeł. Podaje na przykład za kronikarzem ruskim Samoilem Wieliczką, że książę wbił na pal posła Chmielnickiego, atamana Sucha-ruke, gdy w rzeczywistości nie miało to miejsca. Niemniej jednak Sienkiewicz całym sercem stanął po stronie Wiśniowieckiego i tych, co nie chcieli kompromisu, a ratunek ojczyzny widzieli w zbrojnym zdławieniu powstania na Ukrainie.

Rok 1886 łączy w sobie trzy sienkiewiczowskie rocznice: przed 140 laty urodził się na Podlasiu, w Woli Okrzejskiej autor Trylogii, 100 lat temu (1883-84) ją pisał — np. „Pociep” w 1886 r. — a przed 70 laty zmarł.



Od Cassino do Bolonii

— 10 —

Tragiczny dzień

Feliks Kępa

15 LIPCA 1944 r. Najbardziej tragiczny dzień dla 2 Kompanii „Commando”!

Prawie od tygodnia trwaliśmy w obronie na Monte Freddo. Niemiecka artyleria coraz precyzyjniej kładła ogień nękający na stanowiska naszej kompanii, biorąc w „widły” nawet „contadino”, gdzie odbywało się wszystko — dowodzenie, obserwacja, dostawa i rozdział żywności oraz amunicji, odpoczynek i spanie, mycie się i golenie. A byli i tacy, którzy rozebrali się do kałoseń, opalali się. Jakby zupełnie zapomniano i lekceważono fakt, że wciąż byliśmy wszak na wysuniętej pierwszej linii, na polu walki. Walki ciągłej, żywej, ciągłej czynnej w wymianie obustronnych obserwacji i nękających ogni artyleryjskich. Dało się zauważyć lekceważenie przeciwnika; kompania żyła jakby w upojeniu własną siłą, wspomnieniem niedawno odniesionego zwycięstwa.

Winę za ten stan rzeczy muszę przypisać przede wszystkim sobie. Winę bezpośrednią za to, co się stało 15 lipca, przypisuję memu zastępcy, ppor. Edwardowi Zalewskiemu, bo dzień był dla mnie na Monte Freddo porą snu i odpoczynku po całonocnym czuwaniu. Według umowy — on czuwał w dzień i w dzień za całość był odpowiedzialny.

Tego dnia do naszych normalnych czynności bojowych, gospodarczych, porządkowych i w ogóle życiowych doszło jeszcze przywiezienie oczekiwanego „naafi” (fasowanych przez żołnierzy i oficerów produktów dostarczanych od „NAAFI” — „Navy, Army, Air Force Institute”). Podchorąży Władysław Schmidt, dowódca poczty bojowego d-ty kompanii, stał właśnie na zewnątrz „contadino”, zajęty rozdziałem tych dóbr między ludzi.

Sobotni spacer

Dokończenie ze str. 3

do którejś z nich, dopada nas nieodmiennie dręczący zapach smolowanego drewna. Nie potrafię go zapamiętać przez kilka następnych dni. Za pomnikiem, ulicą, przemykają samochody i czerwone autobusy. Spiesz się miasto. Jeden z muzealnych strażników jedzie przez obóz rowerem, nadając otoczeniu pozory życia.

Mijamy pomnik, kierując się w stronę samochodu. Mike wyjmuje papiery.

— Jak to możliwe? — pyta nagle, niespodziewanie Alla.

Mike odwraca się w jej stronę.

— To możliwe — mówię gwałtownie. — Pomyśl, jakie to było syste-

I nagle niespodziewanie stało się! Przyszedł ten jeden, tragicznie celny pocisk artylerii niemieckiej. Trafił w ceglano-klepiako przyległe do „contadino” i eksplodował, rżąc odłamkami tłum żołnierzy, siedzących zwartą grupą na zewnętrznych schodach budynku, pod ścianą domu i w pobliżu nie opodal znajdującej się studni. Mój zastępca, ppor. Zalewski, siedział w chwili wybuchu na pieńku przed wejściem do pomieszczenia, gdzie znajdowało się moje legowisko i czytał gazetę. Nagle wyrwany z głębokiego snu wołaniem mego gońca, strz. Stachnika, ale równocześnie — dochodzącym z podwórza ludzkim krzykiem, jękami rannych i jakimś ogólnym, niezwykłym zamieszaniem na zewnątrz, zerwałem się na równe nogi i pierwszym moim odruchem — gdy zobaczyłem, co się dzieje — było chwycenie za kawał kija i popędzenie desperujących Włochów na stanowiska, do broni maszynowej. Nie wolno było dopuścić do rozprzestrzeniania się paniki.

Ujrzałem, że zewnętrzne schody, prowadzące na pierwsze piętro budynku, złane są kałużami krwi. Także niżej, pomiędzy studnią i ścianą domu, również tylko krew, krew... I jęki rannych. Mój zastępca krzychał, że także jest ranny.

Telefonista natychmiast przekazał do Pułku Ulanów Karpackich wezwanie: SOS! W ciągu kilkunastu zaledwie minut przybyła na Monte Freddo sanitarka i dwa bantamy z noszami. Wywieśliśmy dużą flagę Czerwonego Krzyża, którą, dzięki Bogu, Niemcy respektowali i na jej widok przestali strzelać. Inaczej byłaby masakra.

Zaczęła się pospieszna pomoc opatrunkowa, ładowanie rannych do sanitarki i na nosze bantamów. Łżej rannych sadzaliśmy obok leżących ciężko rannych. Kiedy pomagałem ciężko rannemu podch. Adamowi Hodurowi, posłyszałem jego gorące słowa: „Panie poruczniku, niech pan ratuje innych, ja wytrzymam...”

Zabici byli: strz. Giuseppe Di Menna, strz. Enco Conti, strz. Salvatore Schiavone i strz. Radosław Gregori. Ranni: ppor. Edward Jan Zalewski, plut. podch. Adam Hodur, kpr. pchor. Władysław Schmidt, podch. Dawid Szerwic (obserwator artyleryjski z 1 dyonu 3 Karpackiego PAL-u), pięciu Włochów rannych poważnie oraz pięciu lekko (nazwisk ich, niestety, nie pamiętam, moje notatki z tego okresu uległy zniszczeniu). Ci lekko ranni Włosi, po nałożeniu im opatrunków na punkcie sanitarnym Pułku Ulanów Karpackich, tego samego dnia wrócili na Monte Freddo do kompanii.

Był to dla mnie bardzo bolesny wypadek. Tak bardzo bolesny, że po opatrowaniu sytuacji, wydaniu poleceń i osobistym dopilnowaniu, aby została zmyta krew moich żołnierzy ze schodów i uprzątnięte jej ślady z powierzchni podwórza, udałem się na moje legowisko, aby... rozplakać się jak małe dziecko.

To, co się wydarzyło, to była ogromna zapłata, haracz za lekceważenie przeciwnika. Czterech ludzi zabitych. Nie dołączyło nigdy do kompanii trzech Włochów przewiezionych do szpitala. Nie wrócili już do kompanii ppor. Zalewski i podch. Schmidt. Podchorąży Adam Hodur dopiero pod koniec 1944 r., po wyleczeniu, wrócił do nas, na front zimowy nad rzeką Senio, w rejonie Brisighella.

Po tragicznym wypadku ustalo na Monte Freddo bezsensowne wałsanie

się po zajętych przez nas terenie i lekceważenie przeciwnika. Była to dobra, choć niestety bardzo bolesna lekcja, jak należy zachowywać się na pierwszej linii frontu podczas wojny. Zarządzeniem natychmiastowe zbudowanie tuż przy „contadino” rodzaju wału obronnego z różnego podręcznego materiału; obłożono ten wał darnią, ziemią w workach itp. Chroniło to całkowicie przed pociskami naszą komunikację wewnętrzną na moim punkcie dowodzenia. Ten wał i nowy, bardziej ostrożny sposób życia uchronił nas od wielu dalszych strat.

16 lipca, o tej samej mniej więcej porze co poprzedniego dnia, w to samo dostownie miejsce padł kolejny pocisk niemieckiego ognia nękającego, zabijając się z wyrwą po pocisku sprzed dwudziestu czterech godzin. Tym razem skutki wybuchu — żadne. Na podwórku nie było nikogo, a zbudowany wał ochronny spełnił swoje zadanie całkowicie, zatrzymując odłamki rozrywającego się pocisku.

16 lipca był dla nas dniem żałoby i lizania się kompanii z ran. Poza tym była normalna służba. Na linii — obserwacja i czuwanie. Nasza artyleria starała się pomścić straty, nasilając ogień na rozpoznane punkty oporu niemieckiej obrony, aby odciążyć nadciągające główne natarcie 2 Korpusu. Dowodzenie i plutonem objął teraz — czasowo — strzelec z cenzusem Zbigniew Piatkiewicz. Ja miałem z sobą i przed sobą kolejną nieprzespaną noc. Wczesnym rankiem 17 lipca kapral Jan Kulesza z dwoma ludźmi rozpoznał niemieckie stanowiska między II Coppo a luźnymi zabudowaniami na południowych stokach Monte Colombo.

Wiedzieliśmy już, że tego dnia od 6.30 rano idzie główne natarcie 2 Korpusu Polskiego na Ankonę lewym skrzydłem. Po sforsowaniu rzeki Musone oddziały Korpusu zaczęły nacierać 2 Brygadą Pancerną w kierunku na miejscowości: Agugliano — Falconara — Chiaravalle. Współdziałała z tym natarciem 1 Samodzielną Kompanią Commando wraz z dowódcą Zgrupowania Commando, majorem Smrękowskim. Bezpośrednio kompanią dowodził kapitan Andrzej Czyński, mając jako zastępcę kapitana Macieja Zajączkowskiego. Kapitan Stefan Zalewski, zastępca dowódcy Zgrupowania Commando, pozostał z pamię, nie chcąc nas całkowicie „osierocić” i poddawać pod bezpośrednie rozkazy dowódcy Pułku Ulanów Karpackich.

Nocą z 17 na 18 lipca oczekiwaliśmy w każdej chwili rozkazu do pociągu na Ankonę. Lwemu skrzydłu Korpusu zabezpieczał włoski CIL — Corpo Italiano di Liberazione — podlegający operacyjnie dowódcy 2 Korpusu Polskiego. Z prawej nacierała na Offagna 5 Kresowa Dywizja Piechoty, dalej w prawo i wzdłuż szosy nr 16 nacierała 3 Dywizja Strzelców Karpackich.

Była to tak zwana druga bitwa o Ankonę (17—19 lipca 1944 r.), uwięźniona zdobyciem miasta i portu ankońskiego, tak bardzo przydatnego i ważnego, jeśli chodzi o zaopatrzenie wszystkich oddziałów alianckich oraz prowadzenie dalszych działań wojennych we Włoszech. W bitwie tej 2 Korpus zadał nieprzyjacielowi bardzo poważne straty w zdobytym sprzęcie oraz zabitych, rannych i wziętych do niewoli; choć sama bitwa nie została uwięźniona pełnym sukcesem, nie zdołano bowiem zniszczyć 278 dywizji niemieckiej. Zorientowawszy się, jakie jej grozi niebezpieczeństwo, 278 dp. wycofała się w pośpiechu na północ.

Cel bitwy został jednak osiągnięty — 8 Armia Brytyjska zajęła port w Ankonie, skracając w ten sposób o 450 km swe linie zaopatrzenia, rozciągnięte dotąd na długim, bardzo trudnym, górystym terenie.

Do druku przygotował:
Miroslaw Derecki

macyjne i dokładne. Wtedy właśnie nabiera cech normalności. To tak, jak początkujący chirurg. To, co robi, jest najpierw szokujące i niezwykle. Babra się we krwi i ludzkich wnętrzościach. Ten obóz nie miał nic z instynktu; był nauką. Wystarczy tylko pomieszać idee a materiał wyniszczeni — musi być sprawy obojętne. To wszystko. To nie dzieje Hunowie napadli wtedy na Europę, tylko banda inżynierów i planistów. Tak, to jest możliwe. Te puszkę z cyklonem, makiety obozowe miały swoje faktury, numery zamówień, karty ewidencyjne; zupełnie jakby ktoś handlował, powiedzmy rurami, gwoździem, czy czymś takim. Instynkt, zwyrodnienie — to tylko chłopcy od bicia. Tak! Eichman prowadził jedynie buchalterię. Do końca nie rozumiał, czego od niego chcą. On nawet nie nienawidził Żydów. On tylko pracował w Referacie Żydowskim. Liczby, które otrzymywał w raportach i za którymi kryli się ludzie, wolał widzieć jako wykaz, na przykład, ko-

stek masła. Czy wtedy trudno być dobrym ojcem, mężem i kochać psy? Być świetnym urzędnikiem. Dokładnie jak prezydent, który jednym podpisem, śpiesząc się, powiedzmy, do kochanki, odrzuca prośbę skazańca o łaskę. Przecież nie będzie oglądał jego egzekucji, czuł jego strachu, przeżywał tragedię. Czy poczuje się mordercą? Wszystko chroni prawo. A prawo w Niemczech było takie: zabijać.

— Ty zawsze, psiakrew, wszystko rozumiałeś — mówi David.

Odchodził od nas. Patrzył w stronę ruchliwej ulicy. Z kieszeni spodni wyjmował wielką, kraciastą chustkę i podnosił do twarzy.

Odwracamy głowy.

Wiesław Horabik

kamena 7

Był Związek Artystów Plastyków

6 SIERPNI 1936 roku, pół wieku temu, w sądzie Wojewódzkim zarejestrowano Związek Artystów Plastyków w Lublinie. Grupa założycieli ZAP liczyła 24 osoby, wśród których tylko Franciszek Dec i Julian Lisowski uprawiali rzeźbę, pozostali zajmowali się głównie malarstwem olejnym, również akwarelą, rysunkiem i grafiką. Skrzydło damskie w tym zespole stanowiły: Zofia Kwapiszewska, Janina Rybińska, Paulina Turowska, Krystyna Wiercieńska, która wstąpiła razem z ojcem, znanym portrecistą, Krystynem Henrykiem Wiercieńskim.

Prawie wszyscy inicjatorzy związku twórczego traktowali sztukę con amore, jako piękną pasję bez finansowych skutków, na pewno nie zapewniającą utrzymania. Krótko mówiąc, przynajmniej dwudziestu z nich egzystowało dzięki pracy nauczycielskiej w szkolnictwie średnim i podstawowym Lublina. Niektórzy przepracowali tam kilkanaście, inni — nawet kilkadziesiąt lat (Stefan Dylewski, skądinąd interesujący pejzażysta, a i portrecista Tadeusz Sitwiński, Karol Westfal, autor nastrojowych, impresyjnych krajobrazów). Krótko, nawet Wiktor Ziółkowski zajmował się belferką, systematycznie wszak trudniąc się w międzywojniu publicystyką i wydawaniem piennędzy, jakie otrzymał za odziedziczoną kamieniczkę przy ul. Kollataja, prawie naprzeciwko domu, w którym znajdowała się szkoła malarstwa i rysunku Wiercieńskiego. Dotknięty głuchotą ominiął szkołę Kazimierz Wiszniewski, nieprzeciętny drzeworytnik, który zmienił zresztą miejsca zamieszkania w ślad za swoim bratem, piastującym urząd starosty w różnych miastach. Nauczania cudzych dzieci uniknął też Jan Karmański, co jednak nie uchroniło go od biedy, którą cierpliwie klepał w Kazimierzu Dolnym, pochłonięty bez reszty malowaniem pejzaży docenionych właściwie dopiero w ostatnich latach.

Utworzyli przecież ci ludzie organizację twórczą, poświęcając jej czas i energię, bronili przed pomówieniami — po co? Dlaczego powołali Związek Artystów Plastyków, skoro przynależność do takiego lokalnego stowarzyszenia niczego ważnego a wymiernego nie zapewniała: ani stypendiów, wyjazdów zagranicznych, obniżki podatku, od honorariów, ani dodatkowej powierzchni mieszkalnej czy pracowni? Te ostatnie przybytki posiadały trzy może cztery osoby, na pewno Krystyn Henryk Wiercieński oraz Bohdan Kelles-Krauze — malarz z zamiłowaniami, lecz architekt z profesji, dla którego pracownia (przy ul. Grottingera, róg Skłodowskiej) stanowiła życiową konieczność, ale i przeszczerzenie w zasięgu możliwości finansowych. Większość lubelskich artystów plastyków znała pracownię tylko z projektu, pokazywanego przez innego inżyniera (kon-

serwatora zabytków i grafika) na tzw. Wystawie Gwiazdkowej, urządzonej w grudniu 1926 roku w ciasnych i ciemnych salkach muzeum przy ul. Narutowicza 4 (zwanej Namiestnikowską do tragicznej śmierci prezydenta w warszawskiej „Zachęcie”). W kiepskich warunkach przyszło malować znakomite portrety i akty — Władysławowi Filipiakowi, wszak pierwszemu prezesowi ZAP; na adaptowanym poddaszu własnego domku przy ul. Letniej pracował Juliusz Kurzatkowski, który kierował związkiem od jesieni 1937 roku.

Co zatem spowodowało powstanie tej organizacji? Sądzić można, że poczucie specyficznej wspólnoty ducha i interesów, kształtujące się wśród artystów lubelskich już podczas I wojny światowej, a konkretyzujące się w Polsce niepodległej, na pewno w powiązaniu z faktem rosnącej liczby artystów, którzy znajdowali zatrudnienie w rozwijającym się szkolnictwie miasta. Dydaktyka nie zaspokajała przecież ich aspiracji, nie syciła mitologii wyniesionych z akademii sztuk pięknych Krakowa, Petersburga, Florencji, Monachium, Paryża, z warszawskiej szkoły Wojciecha Gersona, gdzie wpajano słuchaczom, że Artysta jest malarzem ducha i mistrzem unikalnych umiejętności. Tymczasem w Lublinie, owszem, doceniano malarzy i sztukę, ale głównie na papierze gazetowym, więc plastycy „we własne ręce los swój ująć musieli”.

Kilkakrotnie w międzywojniu podejmowano próby powołania w Lublinie organizacji skupiającej artystów czy zajmującej się promocją sztuki. Największe znaczenie dla rozwoju środowiska twórczego miało przecież utworzenie wspomnianego Związku Artystów Plastyków — w roku 1936, a więc w okresie wychodzenia Polski (i świata) z wielkiego kryzysu gospodarczego.

Dwa lata później ZAP zmienił nazwę na Związek Zawodowy Polskich Artystów Plastyków i przystąpił do ogólnopolskiej federacji takich organizacji skupiających w zasadzie kolorystów i awangardę. Powojenną kontynuacją stowarzyszenia był ZPAP.

Przypomnijmy jeszcze, że celem tego pierwszego związku było „popieranie interesów materialnych i moralnych członków, szerzenie sztuk plastycznych oraz popieranie działalności kulturalno-oświatowej w zakresie plastyki”.

A jakie są cele współczesnych artystów lubelskich, skoro tylko kilku z nich, głównie z młodego i dopiero co średniego pokolenia, regularnie i do-



Stefan Dylewski, „Palcznica — chata z malwanami”, olej.

Repr. Andrzej Polakowski

dłuższego czasu bierze udział w wystawach ogólnopolskich lub urządza indywidualne ekspozycje?!

Skromnie, ale z przejęciem zaznaczyły 50 rocznicę powstania ZAP: Instytut Wychowania Artystycznego UMCS i Polskie Stowarzyszenie Edukacji Plastycznej, urządzając okolicznościowe spotkanie i wystawę dokumentów w gmachu Uniwersytetu przy ul. Narutowicza 12, w tej samej sali, gdzie prawie pół wieku temu otwarto pierwszą wystawę ZAP. W spotkaniu uczestniczyło m. in. dwoje członków — założycieli związku: Krystyna Zajackowska (z domu Wiercieńska) i p. Zygmunt Bartkiewicz, nestor malarzy lubelskich i jeden ze szczególnie aktywnych inicjatorów tamtej pionierskiej organizacji.

Z okazji pięknego jubileuszu zwróćmy uwagę na jeszcze piękniejszy paradoks: że Lublin jest ostatnim bodaj większym miastem Polski, w którym nie ma oddziału choćby jednego z istniejących dziś w PRL związków plastyków.

IJK

Ekran i widz

Sherlock Holmes w szkole

TEGO jeszcze nie było, Sherlock Holmes, genialny detektyw-amator z Baker Street, odmlodzony o lat kilkadziesiąt — w amerykańskim filmie „Piramida strachu” reżyserowanym przez Barry Levinsona. Producentem tego filmu jest Steven Spielberg.

Sprawa dopisywania do dzieł, które zafascynowały reszcie odbiorców, początku lub dalszej części przez innych autorów, nie jest niczym nowym. Tak było choćby w wypadku „Wyspy skarbów” i „Złota z Porto Bello”. Faktem jest jednak, że nikt dotychczas nie wpadł na pomysł wyjaśnienia „zagadki” Sherlocka Holmesa. Stwierdzenia — drogą dedukcji, ma się rozumieć — skąd wziął się ów charakterystyczny chłód Holmesa, jego nieczułość na wdzięki kobiece, niezwykła punktualność i popadanie w długie okresy wyobcowania ze świata. A także, co stało u podstaw jego tak wielkiej przyjaźni z doktorem Watsonem.

I oto teraz nareszcie Barry Levinson na spółkę ze Stevenem Spielbergiem odpowiada na owe pytania! Wkraczamy więc wraz z nimi, we wczesne lata epoki wiktoriańskiej w Anglii, kiedy to w jednej z londyńskich „private schools” szkół dla chłopców „szlachetnie” urodzonych spotykają się dwaj kilkunastoletnie przybyli właśnie z północy kraju, niski korpulentny obiadający się ciastkami James Watson, który marzy o zawodzie lekarza, oraz wysoki chudy Sherlock Holmes, duma szkoły, świetny uczeń, doskonale szermierz i bardzo słaby, wciąż fałszujący skrzypek. Sherlock pasjonuje się

chemią, ale najbardziej — rozszyfrowywaniem różnych tajemnic, także zagadek kryminalnych, metodą dedukcji, która go bez reszty fascynuje. Może dlatego jest wciąż czymś zajęty, ciągle się gdzieś spóźnia. Przede wszystkim zaś spóźnia się na randki z Elizabeth, śliczną córką emerytowanego nauczyciela-wynalazcy, w której kocha się na śmierć i życie. To właśnie cały tragiczny spłot niezwykłych wydarzeń, w jakie zostanie zaplątana trójka młodych ludzi, sprawi, że w późniejszych latach Sherlock Holmes stanie się właśnie takim jakim poznaaliśmy go z książek Arthura Conan Doyle’a.

Dodajmy, że dramatyczne prowadzące do niejednej tragedii przeżycia bohaterów „Piramidy strachu” rozgrywa się nie tylko w szkolnej scenarii XIX-wiecznego Londynu, lecz także w miejscach, gdzie działa okrutna egipska sekta Eh Tar, dokonu-



jąca rytualnych mordów na porywanych młodych dziewczętach, gdzie krążą tajemniczy osobnicy wyposażeni w straszliwą starożytną broń, której poiski wywołują u ofiary przerażające halucynacje, kończące się najczęściej śmiercią...

A wszystko to razem skąpane w swoście lirycznej, nostalgicznej atmosferze, z ogromnym wycuciem widowiskowości, kręcone i fascynujące (także ze względu na doskonałe rzemiosło filmowe). Aż się ciśnie pod pióro zdanie Aleksandra Ledóchowskiego z jego refleksji na temat ostatniego, prezentowanego na festiwalu w Cannes filmu Spielberga pt. „Kolor purpury”: „jest to film, który ogląda się znakomicie, ale, w ostatecznym rozrachunku, to jednak kino sentymentalnej zabawy”.

I tak jest właśnie z większością filmów Spielberga i także z filmami, których wprawdzie nie kręcił on sam, ale które wychodzą w jakiś tam sposób spod jego ręki. Są efektowne, doskonale robione, warsztatowo fascynujące, na okres dwóch godzin spędzonych w kinie, ale brak im głębi, szerszej filozoficznej refleksji. Są doskonałą zabawą, ale to zbyt mało... Reżyser Andrzej Żuławski, w wywiadzie udzielonym niedawno tygodnikowi „Przekrój” mówi o Spielbergu wręcz: „Uważam go za jednego z morderców kina, bo gusta najbardziej niemądrego widza wyniósł on na piedestał”. To prawda, i trudno się dziwić, że świetnie „skrecony” film „Kolor purpury” nie otrzymał w Cannes żadnej nagrody.

Obejrawszy „Piramidę strachu” pomyślałem, że stanowi ona jaskrawy przykład różnic, jakie dzielą twórców takich jak Arthur Conan Doyle i Steven Spielberg. Bohater Doyle’a Sherlock Holmes, był postacią skierowaną ku nowoczesności. Tkwiąc w realiach wiktoriańskiej Anglii, umysłem sposobem rozumowania wybiegał daleko przed nią, w przyszłość Spielberg — przy całej swej „nowoczesności” i częstej „przyszłościowości” tematyce jego filmów — stawiając na swoistą ludyczność, cofa się niejako w historię kina, do atmosfery początków, gdy stanowiło ono wspaniałą zabawę wynikającą z fascynacji „cudem techniki”, jakim był wynaleziony niedawno kinematograf. Conan Doyle, uczył swoich czytelników oreczyźnego myślenia, logicznego wyciągania wniosków, odczytanie „obserwacji” otaczającego ich świata. Spielberg — swoich widzów takiego myślenia odurcza.

M.D.

M IĘDZYNARODOWY sleeping relacji Niogoretoje — Paryż wiozi panna Władysława Kostakównę — „Limbe” — pierwszą polską Miss Polonię — na paryski turniej o koronę najpiękniejszej Europejki.

— Pani dyrektorowo — kłopotala się „Limbe” — czy aby wszystko zabralysmy?

— Bądź spokojna, dziecinko — uspokajala, matkujaca naszej miss, pani Helena Huzarska, dotykajac jakby dla upewnienia kufrow i nesaserow. — Jest wszystko jest... Tu strój lowicki, a tu toalety od Hersego. Przyszly zreszta w firmowym opakowaniu, widzi panna Władzia?

Kiedy wscibscy dziennikarze pytali „Limbe” przed wyjazdem, czy jest pewna swego sukcesu w Paryżu, odpowiedziala bez wahania: „Tak, pewna jestem przebojowego sukcesu... toalet od Hersego, są śliczne!” Warszawski Dom Mów — Bogusław Herse i Spółka, pragnąc przyczynić się choć w skromnej mierze do szczęśliwego dla Polski wyniku w paryskim konkursie, wyraził gotowość — jak poinformowała prasa — zaopatrzenia Miss Polonii w stosowne stroje.

Pierwsze w naszym kraju wybory Miss Polonii (1929) i jej udział w konkursie na Miss Europy wywołały zrozumiałe zainteresowanie opinii publicznej. Podkreślano... patriotyczny aspekt udziału Miss Polonii w paryskim turnieju.

„Naszą ambicją narodową powinno być, by konkurs europejskiej piękności — przekonowała Zula Pogorzelska, znana aktorka kabaretowa — zdobyła Polka. Niewątpliwie — dowiodła dalej — piękne są kobiety w innych krajach, ale żadna z nich naszej Polce nie warta jest zdjąć trzewiczka”.

Według pani Jadwigi Harnowskiej, damy se-letniej — „Polka winna być i do tańca, i do różnic. Jak to zawsze u nas bywało, Polki są nie tylko najpiękniejsze, ale i najdzielniejsze. Zwycięstwo nie powinno być dla nich trudne”.

„Rasa Polek jest jak dobra rzeźba granitowa: piękna, jędrna i nieśmiertelna”. No, skoro mówi to sama rzeźbiarka, pani Ada Pawłowska...

A zdanie malarki na ten temat? Oto Wanda Gentil-Tippenhauer: „Urodę Polki charakteryzuje harmonijny umiar w proporcjach: wzrost średni, szczupła, płynność linii, rysy regularne, niezbyt złota, ani krańcowo czarna”.

Pierwszą zaś w Polsce kobieta-advokat, pani Helena Wiewiórska, zauważyła: „Polki tem różnią się od Niemek i Francuzek, że łączą sentyment Wiednia z temperamentem francuskim”.

Panowie również zadęli w patriotyczne fanfary.

„Wybór najpiękniejszej Polki więcej zrobi swą propagandą za granicą — grzmiał Ignacy Długas — niż niejedna nota dyplomatyczna lub niejedna duża wystawa dzieł artystycznych”.

Stanisław Gruszczyński, aktor, popijając pół czarnej u Loursa, wyznał: „Pragnąłbym, ażeby Miss Polonia była typem czysto słowiańskim: Polki słyną jako najpiękniejsze kobiety na świecie i tę opinię musimy podtrzymać, to musi być punkt naszego honoru!”

Od najpiękniejszej Polki AD 1929 roku wymagano też, by posiadała

„równie piękne rysy, jak i higienicznie utrzymane zdrowie i jędrne ciało, by była naturalnie piękna, a nie pobielonym rondlem, tak jest, pobielonym rondlem” — według opinii szefowej salonu piękności, pani Zofii Paderewskiej.

„Masaż, parafina, kąpiele odtłuszczające i dieta zmieniły dawną tradycyjną »łanię« w modną, rasową »charczkę« — jeśli wierzyć Zuli Pogorzelskiej.

„Kobieta jest ta, która się ogólnie podoba” — krótko stwierdziła, zapytana na tę okoliczność, pani Mira Zimnińska.

„Ależ naturalnie, zachęcać, zachęcać do piękności, poprawiać rasę — sumował opinie Antoni Fertner. — Niech będzie jak najwięcej pięknych kobiet, bo przez to i my mężczyźni wypiekniemy!” Otóż to.

Tymczasem pociąg z Miss Polonią zatrzymał się na dworcu śląskim w Berlinie. Dwie bite godziny „Limba” przyjmowała delegację Polaków z Lipska, Essen, Bochum, którzy pomimo 18-stopniowego mrozu pragnęli ją po-

Miss Polonia 1929 (II)

W Paryżu

witać, podobnie, jak przybyli z innych miast Niemiec polscy emigranci wybierający się do Argentyny. W ostatniej prawie chwili — kiedy konduktor wołał już: „Achtung, abreise!” — podano Miss Polonii bukiet bzu od posła polskiego w Berlinie. Sleeping pognal w kierunku Paryża.

I oto już Gare du Nord, hotel „Palais d'Orsay”, prasa, okrzyki powitania. Szybko, szybko, zmienia toalet, łańcuchy, zachwyty, kwiaty. I nieodłączna „regulaminowa” ostoja samotnej wśród światowych wróżek „Limby” — dyrektorowa Huzarska.

5 lutego śniadanie europejskich piękności w towarzystwie monsiure Sabatiera, przejażdżka po Paryżu, zwiedzanie jego sławnych osobliwości. A wieczorem Bal Małych Białych Łóżecek — impreza, z której dochód przeznaczono w całości dla dzieci zagrożonych gruźlicą. Coś dla panny Władysławy. (Paryska prasa komentuje przy każdej okazji działalność społeczno-dobroczynną naszej „Limby”). Bal trwa. Premier Polnecaré wśród najpiękniejszych dziewcząt Europy...

Oto Rumunka Mariora Ganesco, brązowa Venus z Constanzy; gorąca karnacja, uśmiech i owal Giocondy — jak relacjonowała niezawodna wysłanniczka „Expressu Porannego”, redaktor Jadwiga Migowa.

Oto Pepita Samper — córka Walencji; słodycz i ognisty, hiszpański temperament.

Aspazja Karatras z Grecji; ma piękną oczy i usta.

Wala Osterman-Tołstoj — emigrantka rosyjska; blondynka o fenomenalnie długich rzęsach.

Angielka Sara Russel — prawdziwa

córa mglistego Albionu. Szafynka o niebieskich oczach.

Elżbieta Simon — Węgry. Niewyraźna, szczupła blondynka.

Sensacją staje się Miss Germanii — Elżbieta Radzyn — Polka z pochodzenia, do czego otwarzyć się przyznał 1 już 6 lutego; bal w Operze Wielki show francuskich artystów, tancerzy, śpiewaków i missek. Dla dziewcząt ten wieczór jest najważniejszy, zadecyduje, która z nich zostanie Miss Europy 1929. Są już pierwsze typy: Polka, Hiszpanka, Rumunka, Wiedienka, ewentualnie Angielka. Nieustający aplauz i życzliwość dla polskiej „Limby”.

A z kraju dochodzą wiadomości, że obywatele miasta Wilna utworzyli Fundusz Społeczny Miss Polonii pod hasłem piękna i dobra. Nasza Władzia promienieje. Zaś tu, w Paryżu, sygnalizacja. Matrymonialne, przeważnie jednak filmowe i fotograficzne. Znana firma „Gaimont” oferuje Miss Polonii 200 tysięcy franków rocznie! Nasza „Limba” odrzuca je bez mrugnięcia oka. Za mało? Nie, nie chce rozniecać swej piękności na drobne fabrykaty klisz fotograficznych — jak donosiła później prasa. Immo! Miss Polonia składa oświadczenie, „że nie ma zamiaru — w przypadku wybrania jej na Miss Europy —jechać do Ameryki, gdyż tam jeszcze trudniej będzie jej niż w Paryżu

— Da, u stoł Jewropy nożki niemnożka krowowaty — zgodzono się.

Kulisy, kulisy... Szkoda, że polska „Limba” przepada w tych wyborach. Przesadziło o tym, być może — w opinii wielu — odrzucenie intrazyjnych ofert filmowych „Limba” nie dopasowała się do międzynarodowego szablonu.

Alie kreacje od Hersego nie poszły jeszcze do kufrow. Przed Władysława było kilka dni na Łazienkowym Wybrzeżu, karnawał niemiecki, gdzie zachwycała swoim lowickim strojem i białymi sukniemi. Było przyjęcie u Ignacego Paderewskiego, były paryskie jeszcze wizyty u ambasadora Alfreda Chlapowskiego i Połi Negri.

Wreszcie powrót do kraju. „Przepych Paryża nie dał mi złotych blasków prostoty serca młodej Polki” — kwitowała paryską przygodę „Limby” krajowa prasa.

A co było dalej? Początek stycznia 1930 roku przyniósł wiadomość, że oto Miss Polonia 1929 staje na ślubnym kobiercu! (A redakcje „Kuriera Czerwonego” i „Expressu Porannego” szukają godnej jej następczyni). Wybraniem panny Władysławy został kawaler o nazwisku Sliwiński, a ślub zamówiono w katedrze św. Jana. Co to był za ślub! Policja musiała torować drogę weselnemu „Studebakerowi”; suknia z crepe-georgette — oczywiście, z firmy Hersego — i gronostajowy płaszcz panny młodej zachowały zebranych. Miodowe 10 dni państwo Sliwińscy spędzili w Zakopanem. I pewnie żyli długo i szczęśliwie.

Miss Polonia 1930 wybrana została Zofia Batorycka ze Lwowa, Miss Europy 1930 — Greczynka z Peloponezu. Do tytułu tego kandydowała pewna Turczynka o wadze... 90 kilogramów! Ostry protest przeciwko niej złożyła Miss Turcji 1929, aczkolwiek, według tureckich pojęć, kobieta tym jest piękniejsza, im bardziej podobna do armaty.

Po polskiej „Limbie” zachowały się jeszcze po domowych kufkach widokówki wydane przez firmę „Manuel Frerés” z napisem: „Miss Polonia Władysława Kostakówna — La plus belle femme d'Europe”. Dokumentuje to poniższa reprodukcja.



Repr. Robert Lipski

Portret

Ireneusz Jabłoński

DOSTAŁEM ten adres od znajomego. Wiedziałem, że znajdę się wkrótce w N. i będę potrzebował miejsca na nocleg. Według zapewnień kolegi, miał to być średniej klasy hotel, położony w centrum miasta.

Przyjechałem w południe. Przy dworcu wsiadłem do taksówki. Rzeczywiście, hotel nie był ani zły, ani superkomfortowy. Budynek zapewniał sporo miejsca dla nielicznych, jak się okazało, gości. Poprosiłem o pokój jednoosobowy i, ku mojemu zdziwieniu, recepcjonistka podała mi klucz. Poprosiła o dowód osobisty. Zamierzalem zostać trzy, cztery dni.

Pokój był jak każdy inny, zwyczajny, hotelowy — tapczan, szafa, stół, fotel, radio, obraz na ścianie, łazienka. Rozpakowałem torbę i ułożyłem swoje rzeczy tak, jak wydawało mi się, że będzie najlepiej. Wiedziałem, że tego dnia już nic nie załatwię. Miałem za to sporo czasu na spacer po nieznanym mieście. Podobne do innych. Zmęczony wracałem do hotelu. Staralam się zapamiętać, którędy szedłem, aby idąc z powrotem, nie pytać ludzi o drogę — wolać udawać tutejszego.

Z przyjemnością otwierałem drzwi mojego pokoju. Pomyślałem o jakiejś dwugodzinnej drzemce. Zdjąłem tylko buty i położyłem się na świeżym podściel. Było ciemno, gdy otworzyłem oczy. Wiedziałem, że teraz nie usnę tak szybko, więc co robić? Kino! Poszedłem na dwa seanse. Po powrocie znowu walnąłem się na łóżko. Przeglądałem się sprzętom w pokoju. Obraz wiszący na ścianie wydał mi się dziwny, bo zwykle w hotelach są to pejzaże lub martwe natury, a ten był portretem. Kobieta po trzydziestce, o ładnej, zadbanej twarzy — dziwnie znajomej. Długo przyglądałem się tej reprodukcji. Gdy skończyłem, poczułem głód i poszedłem na dół z zamiarem zjedzenia kolacji.

No, może kolacja była i uczciwa, ale kelner policzył jakoś dużo. Wróciłem do siebie, zapaliłem tylko nocną lampkę. Lubię takie słabe oświetlenie, w którym wszystko nabiera łagodniejszych kształtów. Przez moment wydawało mi się, że w łazience jest odkryty przysznik. Nie, musiałem się przesygnąć. A jednak odgłos chlapiącej wody był całkiem wyraźny. Zażrzałem. Nic. Czysta. Byłem chyba przemęczony, a rano miałem wczesnie wstać.

Podszedłem do telefonu, by zamówić budzenie na siódmą, i zbliżając rękę do słuchawki, wyczułem delikatny, przyjemny zapach. To było mydło. Uniosłem głowę. Patrzyły na mnie oczy kobiety z obrazu. Twarz wydawała się bardziej wypielegnowana i jakby odświętzona. Poczułem się niewojowa. Zaświeciłem główne światło dla dodania sobie odwagi. Ja, dojrzały mężczyzna, mający żonę i dwoje dzieci, wystraszyłem się jak przedszkolak, ale czymś! Odwróciłem się gwałtownie, sprawdzając, czy nikt za mną nie stoi. W końcu, nie gasząc światła, znowu się położyłem.

Leżałem chyba z godzinę. Ogarniało mnie błogie znużenie. Szybko się rozebrałem i wsunąłem pod koldrę. Prześcieradło było ciepłe. Ocknąłem się. Wróciły poprzednie lęki. Brakowało mi miejsca w łóżku. Nie chciałem dopuścić tej myśli, ale jakby ktoś leżał w nim razem ze mną. Ta kobieta z obrazu pachnęła mydłem. Jakby owijała mnie swoim ciałem. Strach ustąpił podnieceniu. Zapomniałem o dzieciach, żonie, wierności i liście od żony, którego nie zdążyłem jeszcze przeczytać. Poddalem się pieszczotom.

Obudziłem się późno, bo budzenia nie zamówiłem. Spojrzałem na obraz. Próbowałem przypomnieć sobie, skąd znam tę kobietę? Znałem ją przecież. Zadzwoń! telefon. Pani z dołu przekazała mi wiadomość, iż za pół godziny oczekuje mnie dyrektor wydawnictwa. Mruknąłem, że rozumiem, ale wciąży patrzyłem na obraz.

— Przepraszam... — wyjąłem do słuchawki — czy wie pani, kto jest autorem obrazu, którego reprodukcja wisi w mnie w pokoju?

— Czy to jest portret kobiety? — usłyszałem pytanie.

— Tak, tak zgadza się.

— To nie jest reprodukcja, to oryginał. Jeśli pan chce, zawołam moją koleżankę. Ona wie o historii tego obrazu znacznie więcej.

— Tak, proszę.

Czekałem ze słuchawką przy uchu i machinalnie sięgnąłem po leżący przy aparacie list od żony. Otworzyłem go. Spojrzałem na obraz, na list, znowu na obraz...

— Przecież to moja...

Nagle w słuchawce usłyszałem głos. — Halo, jeśli to pana interesuje, to obraz ten ofiarował nam pewien plastyk, chyba pięć lat temu. To naprawdę nie jest kopia. Nie wiem, czy to prawda — zawałała się recepcjonistka — ale podobno ten obraz ma coś w sobie. Każdy z gości, wynajmujących ten pokój, dopytywał się po pierwsze nocy o niego, a właściwie o tę kobietę na nim. Pytali, czy znają ją tu w hotelu? Kto to jest? I co ciekawe, nikt nie rezygnował z pokoju, a wręcz przeciwnie, przedłużał swój pobyt u nas.

— A., czy dużo było tych... no... gości? — wyjąłem.

— No, około tysiąca, proszę pana. Sami mężczyźni.

WIELU ortodoksyjnych historyków oburza się na myśl o porównywaniu ze sobą np. starożytnego niewolnictwa z pracą Murzynów na plantacjach trzciny cukrowej i bawełny w Ameryce w XVIII — XIX wieku. A jednak studia komparatystyczne niezwykle pociągają. Przyczyn tego jest wiele, ale wydaje się, że można postawić jedną generalną diagnozę — zajmujących się historią, zarówno amatorów, jak i profesjonalistów, najbardziej fascynuje i zapładnia twórczo myśl, że wszystko już było, że dla każdego w zasadzie wydarzenie, faktu historycznego znaleźć można jego lustrzane odbicie, jakby zgodzie z irracjonalną regułą, że każdy człowiek ma swego sobowłóca. I tak operacja stalingradzka porównuje się do manewru Hannibala w bitwie pod Kannami, nowożytny sufrażystki i emancypanki chętnie odwołują się do pozycji kobiety etruskiej, karierę Napoleona często zestawia się z drogą Cezara do jedynowładztwa...

Przykłady można mnożyć. Najważniejsze jednak wydaje się, że tego typu próby, mimo pewnych niebezpieczeństw, znajdują wielu zwolenników i naśladowców. Nasuwające się w czasie studiów historycznych raz po raz analogie i podobieństwa między rozmaitymi wydarzeniami, zjawiskami, a często doprawdy różnej proveniencji, są zbyt nęcące i ciekawe, aby ciągle zostawiać je gdzieś na uboczu. I kiedy cały świat huczał nie tak dawno o futbolowych mistrzostwach, to na usta nawet niezbyt bystrzego obserwatora same cieniły się słowa: *panem et circensibus*. I wnet gotowe porównanie: piłkarskie igrzyska — mundiale starożytności...

W świecie rzymskim największą bezsprzecznie popularnością cieszyły się igrzyska gladiatorów, widowiska, które wielki znawca dziejów Rzymu, Z. Mommsen, określił jako „objaw i podniecie najbezpieczniejszej demoralizacji starożytności”. Po tych słowach gromy spadną na każdego, kto spróbuje porównywać krwawe przedstawienia do szlachetnych zmagani narodowych jednostek. Ale igrzyska gladiatorów w świecie rzymskim były ważnym elementem życia społecznego, politycznego, ba, nawet gospodarczego. Zatem, jako swego rodzaju zjawisko społeczne przyciągające uwagę milionów ludzi, bezsprzecznie podlegać mogą podobnym ocenom jak współczesne piłkarskie mistrzostwa. Żadne ze zjawisk związanych z mundialami nie było obce igrzyskom rzymskim, analogie nasuwają się niemal automatycznie.

Nie warto chyba wyważać dawne otwartych drzwi i przekonywać kogokolwiek, że świat końca XX wieku oszedł na punkcie piłki nożnej. Wystarczy więc udowodnić, iż w podobny sposób Rzymianie zarzadzali się namiernością do igrzysk gladiatorów.

Historyk rzymski Tacyt, oceniając stosunek swoich rodaków do igrzysk gladiatorów, stwierdził, iż namierność do tych widowisk wyszła oni wraz z mlekiem matki. Pierwsze walki szermierzy w Rzymie odbyły się w 284 roku p.n.e., a już sto lat potem dramaturg Terencjusz załżył się, że przedstawienie jego sztuki „Swiekra” zostało przerwane gdyż widzowie, dowiedziawszy się o trwających równoległe popisach szermierzy, gremialnie opuścili teatr. Baczny obserwator i znawca życia społecznego, M. T. Ciceron, z takim jakby zauważył: „Nie zdaje mi się, aby lud gromadził się liczniej w jakim miejscu jak na igrzyskach gladiatorów, aby go tyle było na jakimś sejmiku, zgromadzeniu”... L. A. Seneka pisał, że w dniach igrzysk „po szerokich ulicach płynie tłum ludzi i na śmierć się tłoczy, kiedy stanie coś na przeszkodzie, co zatrzyma go w biegu gwałtownym”... Plewca igrzysk organizowanych przez Domicjana, M. W. Marcjalis, w jednym ze swoich epigramów dał barwny obraz tłumów przybywających na widowiska z najbliższych stron — znajdziemy tu rólaków z Tracji, Sarmatów i Sikambrow, mieszkających nad Nilu i Arabów, a nawet Etiopów. Ta ogromna liczba widzów sprawiła, że uprzywilejowane grupy, nobilitowie i ekwicy, prawem zawarowali sobie korzystanie z najlepszych dla nich tylko zastrzeżonych miejsc w amfiteatrze. Prawa rynkowe zadecydowały również o tym, iż znane było zjawisko „koników”.

Wiele źródeł daje przykłady „indywidualnych” postaw rzymskich „kibiców”. Byli ponoć tacy, jak twierdzi

Seneka, których nawet po zakończeniu walkach trzeba było usunąć z amfiteatru, szcując ich psami. Ulubieniec Lucjusza Flaminusza wyznał, że „tak go kocha, iż zrezygnował dla niego z oglądania walk gladiatorów”. Satyryk Juwenalis starał się przekonać jakiegoś zagorzałego kibica:

*Spróbuj rzucić igrzyska i kup
sobie może
W Frabrererii dom jakiś, w
Fruzynonie, w Sorze.
Tam tyle to kosztuje, co tu
ciemna dzюра.*

Igrzyskami pasjonowali się nie tylko mężczyźni:

*Ogólnia na igrzyska zabiera
spódnice
Asystę, przyjaciółki, poduszkę,
siedzenie
Nianię, dziewczkę, co spełni pani
swej życzenie...*

Wszak Sulla poznał swoją kolejną żonę właśnie na widowisk amfiteatru (trudno doprawdy było znaleźć mniej romantyczne miejsce).

Walki gladiatorów stanowiły często wdzięczny temat dla poetów. Z wielką atencją pisał o nich wspom-

gladiator z Pompejów, słynął jako „spóźniony lekarz dziewcząt nocnych, rannych i innych”. Sława szermierzy była jednak krótkotrwała i miejscem uznanych gwiazd areny szybko zajmowali nowi strażnicy. Nawet los tych gladiatorów, którzy jakimś dziwnym trafem dożyli starości był nie do pozazdroszczenia, umieli przecieć tylko zabijać:

*Nie ten już wiek i umysł, Broń
stary Wejanius
W przybytku Herkulesa złożył
i w ukryciu
Żył, by nie żebrać łaski na
brzegu areny.*

Zachwyłom i uwielbieniu dla gladiatorów mocno dziwił się Seneka: „jak nieozwinięci duchowo są ci, których ramiona i barki budzą podziw”. Pliniusz oburzał się na myśl, że wieniec, dawane niegdyś jedynie bogom — „później rozdawano na igrzyskach cyrkowych”.

Gladiatorzy rekrutowali się głównie spośród niewolników, skazańców i przestępców. M. Grant pisał o nich:

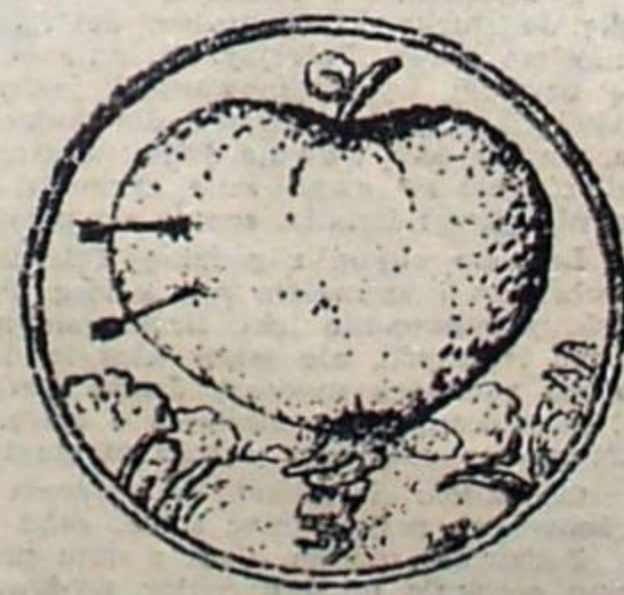
Rzymskie mundiale

Dariusz Ślapek

niany już Marcjalis. W oglądaniu igrzysk szukali także natchnienia malarze. Pliniusz Starszy zanotował, że jeden z wywoleńców Nerona urządzający walki w Ancjum, „wypełnił publiczne portyki obrazami przedstawiającymi wierne podobizny wszystkich gladiatorów i służby pomocniczej”. Nie była to oczywiście sztuka przez duże „S”. Nie należy więc dziwić się Horacemu, który często wyśmiewał podziwiających tego typu obrazy.

Igrzyska na tyle zrosły się z życiem, że obyczaje, rytuał areny znalazły swoje miejsce nawet w przysłowia, sentencjach i dykteryjkach. Seneka w jednym ze swoich listów zaznaczał: „Dawne przysłowie powiada, że postanowienia zapadają dopiero na arenie”. Zresztą tzw. słownik igrzysk na stałe wszedł do potocznej mowy Rzymian: ktoś zmagający się z kimś jak gladiator w amfiteatrze; inny miał tyle pieniędzy, ile ziaren piasku na arenie itp.

Skoro igrzyska gladiatorów tak bardzo pasjonowały większość Rzymian, to nietrudno się domyślić, jak



Rys. Adam Lep

ogromną sławą cieszyć się musieli najlepsi szermierze. Marcjalis wynosił pod niebiosa niejakiego Korporusa, którego dokonania na arenie były ponoć większe niż samego Heraklesa. Niewiele ustępowali mu sławą Hermes, Skorpis i Latinus. Kaligula był oburzony faktem, iż rozentuzjowany tłum po zwycięskiej walce „więcej okazuje czci szermierzowi niż uświęconym władcóm lub jemu”.

Największą słabość do gladiatorów miały oczywiście kobiety. Z pewnością miłość do dzisiejszych championów sportu odpowiada namierności wielu znakomitych Rzymianek. Pompejek, które zapominając o swej czci, ponad miarę dawały dowody swego uwielbienia. Niejaki Krecens,

„byli to najgorsi z najgorszych, nie lepsi od prostytutek i w rzeczywistości do męskich prostytutek porównywał ich zarówno Seneka, jak i Juwenalis”. Stąd terminu „gladiator” używano jako inwektywy, a występy ludzi wolnych na arenie uważane były za hańbiące. Wielka popularność igrzysk sprawiała jednak, że napływowi ludzi wolnych do szeregów szermierskich nie mogły zapobiec nawet specjalne, często ponawiane edykty cesarskie. Zresztą jak mogły działać one skutecznie, skoro sami cesarze (Kaligula, Neron, Domicjan, Kommodus, Hadrian, Lucjusz Werus, Didiusz Julianus, Karakalla, Geta) częstokroć występowali na arenie.

Spółczesność w ocenie igrzysk gladiatorów. Stosunek do nich zależał od wykształcenia, poziomu intelektualnego statusu społecznego odbiorców. Ciceron uważał, że widowiska wywołują uciechę „na krótką chwilę i to wśród najgorszych jednostek”, człowiekowi wykształconemu nie uchodził cieszyć się widokiem rozszarpanego ciała niewolnika. Jednocześnie nie ukrywał jednak podziwu dla gladiatorów ze względu na ich pogardę śmierci, uporczywość i hart ducha. Igrzyska miały bowiem propagować w społeczeństwie kult siły i tężyznę fizyczną.

Wielki mówca docenił znaczenie igrzysk bynajmniej nie tylko z tego względu. W jednej ze swych mów z ogromną szczerością Ciceron stwierdził: „Czy mam powiedzieć, że lud i nieoświecone społeczeństwo lubi igrzyska? Nie ma w tym nic dziwnego, lud bowiem wypełnia zgromadzenia wyborcze, a jeżeli wspaniałe widowiska są rozkoszą dla ludu, cóż dziwnego, że się okazał L. Murenie przychylnym”. Tak więc w okresie schyłku republiki rzymskiej organizowanie igrzysk służyło fundatorowi przychylnie ludu, a w konsekwencji głosy wyborców. Widowiska uważane były już wtedy „za uświęcony tradycją przywilej plebsu rzymskiego, którego nie wolno mu odbierać”.

Niewątpliwą rolę polityczną igrzysk wraz ze zmianami ustrojowymi także uległa zmianie. Za cesarstwa głównymi organizatorami widowisk nie byli już zabiegający o względy urzędnicy, lecz sam cesarz, który też „wyręczał” niejako obywateli rzymskich w ich dotychczasowych uprawnieniach. W zamian dawał im wspaniałe igrzyska, które stopniowo stawały się kląpą bezpieczeństwa dla narastających konfliktów społecznych. Zainteresowania i energię licznego w dużej części rozpróżniaczonego i pasywniejszego plebsu należało we właściwy sposób skanalizować i skierować. Starania zakończyły się

chyba sukcesem, skoro najpopularniejszym wśród ludu hasłem stał się okrzyk — *panem et circensibus!*

Igrzyska gladiatorów spełniały w okresie cesarstwa dużą rolę propagandową polegającą na wprowadzeniu do ściśle zhierarchizowanego społeczeństwa elementów demokracji i egalitaryzmu. W amfiteatrach spotykali się biedni i bogaci, wielcy i mali tego świata. Tylko tu lud bezpośrednio stykał się z cesarzem i tylko tu mógł głośno wyrazić swe opinie, dawać wyraz dezaprobaty dla posunięć władcy. Widowiska bowiem praktycznie przez cały okres swego istnienia spełniały specyficzną funkcję barometru nastrojów społecznych. Ciceron twierdził, że „zgromadzenia, sejmiki i igrzyska to trzy miejsca, w których opinia ludu najwyraźniej objawia się może”.

Zorganizowanie walk gladiatorów było niezwykle kosztowne. Tyberiusz za występ doświadczonych szermierzy płacił po 100 tys. sestercjów, zaś Kaligula sprzedał 13 zawodników za 9 milionów. Cena gladiatora zależała oczywiście od jego umiejętności i doświadczenia. Sztuki walki uczyli się nowozacciężni pod okiem tzw. lanisty, trenera i kierownika grupy gladiatorów. Już w okresie republiki zaczęły powstawać specjalne szkoły gladiatorów. Z doskonałego przygotowania zawodników słynęła taka „uczelnia” w Kapui. Nowozacciężni ćwiczyli się we władaniu wszystkimi rodzajami broni, a treningi te były na tyle ciężkie i wyczerpujące, że, jak wspomina Pliniusz, jeden z gladiatorów ze szkoły Cezara miał przez to prawą rękę dłuższą od lewej. Lanista zainteresowany był w tym, aby z jednej strony, trzymać swoją drużynę w żelaznej dyscyplinie, z drugiej zaś, aby była ona silna i zdrowa. Gladiatorów karmiono do syta, stosując nawet specjalne diety. O ich zdrowie często dbał zatrudniony w szkole lekarz. W takiej roli pracował na początku swojej kariery jeden z najbardziej znanych medyków starożytności, Galen.

Źródła przekazują stosunkowo niewiele informacji na temat zachowania się i reakcji widzów w czasie trwania igrzysk. Dzięki Ciceronowi wiemy, że lud często witał głośnymi gwizdami pojawiających się w amfiteatrach niepopularnych polityków. Tuż przed walkami czyniono szereg zakładów. Każdy z widzów miał swoich faworytów, ulubioną szkołę lub kategorię gladiatorów. W tym choćby tkwiło zarzewie burd i siła rozwiązywanego konfliktów. Ciceron w czasie swego konsulatu załagodził spór wynikły wśród widzów na ile uprzywilejowania części obecnych lepszymi miejscami na widowisk. O Augustie napisał Swetoniusz, że „bezład i samowola panująca dotychczas na widowiskach publicznych ukrócił i ujął w karby”. Za Tyberiusza w Pollicji wybuchły rozruchy wywołane przez tych, którzy siłą chcieli wymusić na prywatnej osobie organizowanie walk gladiatorów. Tyberiusz, znany ze swej surowości i awersji do jakiegokolwiek widowiska, winnych wszczęcia tumultu ukarał w przykładowy sposób.

Niestety, dochodziło także do większych tragedii. Miał i Rzym swoje Heysel. W 60 roku n.e. wypędzony z Rzymu senator Liwineusz Regulus, chcąc odzyskać utraconą popularność, zorganizował w Pompejach walki gladiatorów. Pomiedzy Pompejańczykami i obecnymi na widowisku mieszkańcami pobliskiej Nucerii wszczęły się przekomarzenia, padały dotkliwe obelgi. Na widowisk doszło w końcu do krwawych walk, których ofiarą padło wielu obywateli Nucerii. Senat nakazał niebawem przeprowadzenie śledztwa, wskutek którego zabroniono organizowania w Pompejach walk gladiatorów przez dziesięć lat. Wiele więcej ofiar pochłonęła tragedia jaka wydarzyła się kilkanaście lat wcześniej w Fidenach. Zbudowany tu na przedce drewniany amfiteatr zawalił się. Zginęło bądź odniosło rany — według różnych źródeł — 20 lub 50 tys. ludzi.

Prawne zniesienie igrzysk gladiatorów nastąpiło za panowania Konstancyna Wielkiego w 326 roku n.e. choć w rzeczywistości edykł cesarski długo jeszcze nie był przestrzegany. Luke powstała w zaspokajaniu naturalnych ludzkich skłonności i zainteresowań wypełniali najpierw turnieje rycerskie, corrida, wreszcie w czasach nowożytnych sport ze swą bezsprzecznie najpopularniejszą dyscypliną — piłką nożną.

Twardowski inni

KSIĄZKA „Sztukmistrz Twardowski i polonijni iluzjonści” warta jest uwagi i zainteresowania. Napisał ją Marek Zdrojewski „Aremi” z wykształcenia historyk, z występów estradowych — iluzjonista; a została opublikowana przez lubelski oddział Krajowej Agencji Wydawniczej „Aremi” to nie drugi człon nazwiska, lecz pseudonim sceniczny Zdrojewskiego.

Autor książki, uczeń znakomitego magika profesjonalnego Tomasza Chełmskiego alias „Salvano” (seniora), już od prawie ćwierć wieku para się sztuką iluzji, prezentując publiczności fascynujące triki i numery, w których bez reszty panuje nad światem martwych przedmiotów Zdrojewski rzetelnie zna również warsztat naukowy historyka, jako że i ukończył studia z tego zakresu, i przez kilka dobrych lat pracował w Katedrze Historii Nowożytnej UMCS, publikując artykuły i szkice poświęcone dziełom najnowszym. Przy pisaniu „Sztukmistrza Twardowskiego i polonijnych iluzjonistów” potrzebna była autorowi wiedza z jednej i drugiej dziedziny, zwłaszcza z zakresu sztuki iluzji.

Pierwszą część książki poświęcił Zdrojewski najgłośniejszemu w Polsce czarnoksiężnikowi, mistrzowi Twardowskiemu, żyjącemu w XVI wieku. Postać ta — jak wiadomo — obrosła klechdą i legendą wywoływała wśród badaczy wiele sporów i kontrowersji. Autor opowiada się za historycznością tajemniczego maga i wyraża rolę, jaką ode-

grał on na dworze Zygmunta II Augusta, króla rozmiłowanego w naukach tajemnych. Daje opis sztuczki, przy pomocy której mistrz czarnej magii na życzenie Zygmunta II Augusta wywołał ducha zmarłej królowej Barbary z Radziwiłłów.

Druga część książki zawiera osiem sylwetek współczesnych, głośnych iluzjonistów polskiego pochodzenia zamieszkałych za granicą. Trzeba przyznać, że Zdrojewskiemu udało się ta galeria Naturalnie, jedne postacie są pełne, barwne inne zaledwie zarysowane, ale w każdej z nich dostrzeżenie się zafascynowanie sztuką iluzji i upór w dochodzeniu do celu Zdrojewski, sam iluzjonista i dużo przebywający w kręgu ludzi związanych z czarną magią, umie o tym wszystkim zajmujące opowiadać. Nie są to suche, kostyczne informacje, a ciekawe, skracające ironia i anegdota opowieści, obojętne, czy będzie to opis triku z dziedziny dużej iluzji pod nazwą „Przepływająca dziewczyna”, czy przytoczenie prawdziwej podobno przygody Bernharda Dorena wielkiego miłośnika nowoczesnej magii, który zapytawszy powabną młodkę podejrzanej kondyty jaką część jego ciała bardziej jej się podoba, ta od pasa w górę czy w dół, otrzymał od niej bez namysłu odpowiedź, że oczywiście ta od pasa w dół, bowiem w niej znajduje się... portfel. Te partie książki czyta się zresztą najlepiej.

Praca „Sztukmistrz Twardowski i polonijni iluzjonści” wyszła spod pióra autora utalentowanego, który potrafi pisać interesująco i stwarzać świat ludzi żywych. Dlatego książkę Zdrojewskiego przeczyta każdy z zadowoleniem i pożytkiem, dowiadując się z niej rzeczy, o których — być może — nie miał dotychczas pojęcia.

A.A.W.

Marek Zdrojewski „Aremi”: „Sztukmistrz Twardowski i polonijni iluzjonści” Krajowa Agencja Wydawnicza, Lublin 1986.

Listy do redakcji

„22 LIPCA 1954: TO BYŁO PRZYSPIESZENIE”

Jako członek Prezydium Komisji Historycznej Ruchu Młodzieżowego ZW ZSMP w Zambrze i uczestnik wspomnianych uroczystości w tym czasie w Lublinie, pragnę sprostować nieścisłości zawarte w artykule Marty Dęny „22 Lipca 1954: to było przyspieszenie”, zamieszczonym w nr. 14 (860) Waszego pożytecznego pisma.

Otóż Bolesław Bierut w dniu 22 lipca 1954 roku nie był prezydentem, a I sekretarzem KC PZPR, wybranym na II Zjeździe PZPR, który obradował w dniach 10-17 marca 1954 r. w Warszawie.

Odnośnie wspomnianej funkcji prezydenta B. Bieruta, to plastycznie godność przewodniczącego Krajowej Rady Narodowej, w drodze ustawy z 11 września 1944 r. stał się prezydentem KRN, następnie taki sam urząd sprawuje w Tymczasowym Rządzie Jedności Narodowej.

5 lutego 1947 roku Sejm Ustawodawczy, którego posłem B. Bierut został 19 stycznia 1947 roku z listy państwowej, wybrał go na prezydenta Rzeczypospolitej Polski; tę funkcję, którą pełnił, przejął z funkcją przewodniczącego Rady Państwa, pełnił do 20 listopada 1952 r. (...)

Drugie sprostowanie dotyczy przygotowań do II Zjazdu PZPR, które nie rozpoczęły się w lutym 1954 r., a trwały już od listopada 1953 r., tj. po IX Plenum KC PZPR, które odbyło się w dniach 29 i 30 października i postanowiło zwołać II Zjazd PZPR na dzień 16 stycznia 1954 r. Następnie przesunięto termin na 10 marca 1954 r.

Janusz Domański

Istvan Grabowski

Fot.-Z. Walter

Wielkie male życie

Dokończenie ze str. 12

tuje, a następnie zawraca do macierzystego portu. Mimo to, chętnych na te rejsy nigdy nie brakuje. Jest to bowiem swoisty prezent polskich biur podróży dla światka artystycznej bohemy, ale także małwersantów, oszustów i kanciarzy. Na „Rogalińcu” kwitnie intensywne życie rozrywkowe, intelektualne i, rzecz jasna, „zawodowe”. W luksusowych kajutach, salonikach i messach, w dyskretnym, dźwięku szklą wypełnionego szlachetnym trunkiem, w swobodnej atmosferze jakby rodzinnej, którą stwarza wspólnota pragnień, dokonują się niemałe transakcje, nawiązują znajomości, poszerzają kontakty. Tutaj Bożena poznaje „Bosmana”, znanego waluciarza gdańskiego, „Bolka” i „Lolka” — oszustów z Krakowa. Andrzeja R. — młodego aktora marzącego o przyszłej, wielkiej karierze. Jej zawodowe pseudonimy — to „Bundésweira”; ksywa, która narodziła się chyba w relacji do urody Bożeny, przypominającej nieco popularny image bawarskiej Frau — tej od Kinder, Küche i Kirche.

W tym czasie jest już ona w posiadaniu specjalnych sztabek z polysklowego metalu, które po nadpiłowaniu około 0,2 milimetra ukazywałyby wnętrze wypełnione, mniej szlachetnym od srebra, mosiądzem. Sztabki te mają kształt czekoladowych batonów o wymiarach: 120x28x17 mm i wadze około 280 gramów. Takie sztabki zatrzymywała już milicja wcześniej w różnych częściach Polski. Sztabki te puszcza teraz w obieg „rogalińskie” towarzystwo w szybkiej podróży przez kraj. W trakcie „nagrywania” ich sprzedają Bożena, aktor Andrzej R. i „Bosman” (Roman Cz.) zostają zatrzymani na rynku w Nowym Targu. Dzięki sprytnie spreparowanej opowiadce o nieznanym autostopowiczu, który pozostawił sztabki w ich samochodzie, i z braku dowodów, iż lewy towar ma służyć celom przestępczym, Bożena i Andrzej

zostają zwolnieni, natomiast Roman, poszukiwany listem gończym, wędruje do aresztu. W tym czasie lubelska MO, powiadomiona przez Nowy Targ, przeszukuje świdnickie mieszkanie Bożeny. Srebrnych „batonów” nie znajduje, odkrywa natomiast przebywających tu „Bolka” i „Lolka”, Aleksander J. — „Bolek”, również poszukiwany od pewnego czasu przez organa ścigania, zostaje zatrzymany. Kolo fortuny Bożeny P. zaczyna wolno obracać się w odwrotnym kierunku. Jesienią 1981, przy próbie sprzedaży fałszywych dolarów, zostaje zatrzymana do dyspozycji prokuratury.

Tak dobiega końca krótki, szczęśliwy, srebrny żywot Bożeny P. W niezwykle ograniczonym okresie trzech zaledwie lat (1979-81), żyjąc z intensywnością, której tempo powodują zawrót głowy (i jak sama słusznie twierdzi: „Stwarza wrażenie, iż byłam w kilku miejscach w tym samym czasie”), zdążyła ukształtować swój los na pewien symbol nieprzepartej dążności do życia pełnego iluzji i wątpliwego czaru. Wyrósł na swoistego Kopciuszka, którego kreuje nie szczęśliwe zrządzenie Opatrzności, lecz pogmatwane mechanizmy odwrotnej strony życia.

Odwiedziłem Bożenę P. w areszcie śledczym. Wysłała do mnie, jak zwykle, elegancka i zadbana. Bożena P. czuje się pokrzywdzona. Nie umiejscawia jednak swego żalu w niezidentyfikowanych i podejrzanych niejasnych rządzeniach okrutnego losu. Jest, jak zawsze, realistką. Ma żal do wymiaru sprawiedliwości, który sądzi ją, z taką ostentacją, za przestępstwo stokroć mniejsze od nieściganego, jej zdaniem, wykroczeń możliwych tego kraju; ma uwagi do aparatu ścigania za stwierdzenie, według niej, uchybienia proceduralne, ale także i do oficera śledczego, który nie chciał poczekać na przesłuchaniem do chwili, aż ona będzie umalowana i gotowa; odczuwa niechęć do służby więziennej za to, iż od ponad 1400 dni pozostaje bez zajęcia w zakładzie karnym, a także za to, iż nie stworzono jej odpowiednich warunków do leczenia zębów, które psują się bardzo szybko. Bożena P. przywiązuje ogromną wagę do

swego wyglądu, który stanowił niegdyś przeciwieństwo jej największy bodaj kapital.

W swojej sprawie widzi wielu bardziej winnych od siebie, lecz na pytanie dlaczego, w imię sprawiedliwości, nie obciąży ich swymi zeznaniami — milczy. Jest przygotowana psychicznie na długą karę. Zna już zresztą, jak twierdzi, wysokość wyroku, jaki wymierzy jej sąd. Stała się przeciwieństwem ofiarą zmywu całego społeczeństwa.

Bożena P. lubi książki historyczne, a nawet czytywała się uważnie w dzieła Lenina (jej lektura urwała się na tomie XIII).

Jest szczęśliwa, że nadal ma wielu przyjaciół, którzy nie opuścili jej nawet teraz, i których życzliwość czuje wokół siebie. Oskarża się o naiwność i nieświadomość: „Každy wiedział, że handluje srebrem, a nikt mnie nie ostrzegł, że jest to przestępstwo. Raz nawet, na przyjęciu, pokazywałam im ręce poparzone azotanem. To byli wszystko ludzie wysoko postawieni”. Uważa, że stała się ofiarą ostatniego dopiero zainteresowania sprawami spekulacji.

Bożena P. nie widzi związku między swoim pochodzeniem, środowiskiem, a swoim życiem. Nie zgłasza też i nigdy nie zgłaszała pretensji do życia na wyrost. Czuje się lepsza od wielu innych ludzi: „Nigdy nikogo nie skrzywdziłam. Z natury jestem osobą spokojną. Nie jestem nigdzie wytauwana ani poślęta”. Bożena P. nie marzy w cel. Nie rozmyśla ani o przeszłości, ani o przyszłości. W warunkach więziennego odosobnienia boi się myślenia.

Mimo wszystkich zapewnień i specyficznej, duchowej samoobrony ujawnionej w trakcie naszej długiej rozmowy, podejrzewam jednak, że Bożena P. nadal wciąż jeszcze żyje w świecie iluzji i braku samookreślenia, a jej krótkie, srebrne życie podąża za nią jak cień.

Największą radość sprawiają jej w areszcie listy od mężczyzn.

Bożena P. otrzymuje ich wiele.

Henryk Więclawski

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopicowski (z-ca redaktora naczelnego), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz Marta Dęny, Mirosław Derecki, Wiesław Horabik, Tadeusz Jasiński (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (komentator), Lidia Wójcik (redaktor techniczny) — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie prawo skrótnów. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątki w godz. 14-16.

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie, ul. Unicka 4.

Wydawca: Robotnicze Spółdzielnie Wydawnicze RSW „Prasa-Książka-Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 6, tel. 253-28.

Adres redakcji: 20-030 Lublin, ul. Skłodowskiej 8/1.

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny, z-ca redaktora naczelnego 253-83, sekretarz redakcji 218-83, dział publicystyki i literacki 218-33.

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-030 Lublin, skrytka pocztowa 231, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Wielkie małe życie

Henryk Więclawski

Tak, czuję podniecenie, gdy słyszę szelest. Inaczej szeleszczą dobre pieniądze, dolary, marki, na dobrym papierze. Złotówki szeleszczą jak zwiędłe liście. [...] Wartość człowieka oceniam według tego, co może. [...] Mam 750—900 tysięcy miesięcznie. Każdy, kto nie osiąga 500, jest biedny, nie zna dobrobytu.

(Luna z reportażu K. Kąkolęskiego „Zawodowa dziewczyna”)

BOŻENA P., choć w pewnym sensie pozostaje postacią anonimową, stała się sławną. Pisał o niej „Sztandar Ludu” i „Kurier Lubelski”, „Panorama” i „Ekspress reportażów”. Co chwila jej koleżanki z aresztu śledczego w Lublinie natrafiają na nowe materiały w prasie. Bożena P. zbiera te wycinki, a dwa z nich zgłosiła nawet do akt sprawy, jako przykład przedwczesnego kreowania negatywnej wizji jej postaci w świadomości społecznej. Bożena P. udaje obojętność wobec okazywanego jej przez mass-media zainteresowania, choć przyznaje, że to, co o sobie czyta, nie budzi jej zaufania, a nawet wywołuje nerwowe emocje wybitnie osobistej natury. O ile bowiem pierwsze wzmianki dotyczyły głównie „srebrnej afery” Bożeny P., o tyle każda następna coraz bardziej koncentrowała się na jej osobowości, na jakości przeżyć, jakich doznawała, na motywach jej postępowania. Jej casus stał się nagle swoistym symbolem pewnych skłonności ujawnianych przez wielu naszych współobywateli na przestrzeni ostatnich lat: bezwzględnej pogoni za pieniędzmi, pragnienia życia na wyrost i wreszcie przekonania, iż zamieszkujemy kraj układów i osobistych możliwości, które wyłącznie decydują o losie danego człowieka.

Wizje takie mają coś z Orwella i coś z „Alicji w krainie czarów”. Klasyczną konsekwencją ich realizacji jest zaś nieodmiennie przestępstwo.

Ktoś kiedyś powiedział, że polska zbrodnia i przekroczenie zasad prawa mają lichy kształt. Nie stwierdzono czy była to obserwacja pełna ulgi, czy też goryczy. Z pewnością daleko nam do afer Mansona czy Gillmora. Posiadamy jednak przestępstwa o cechach własnych, swoistych i tylko naszych: wyrosłe z narodowych frustracji, obsesji i podnieciwych ciągów — z polskiego kompleksu wielkiego świata. W tej kategorii plasują się głośne afery gospodarcze, wykroczenia dewizowe, przywłaszczenie sobie cech cudzych osobowości, fałszerstwa. W tej kategorii plasuje się także sprawa Bożeny P.

Bożena P. pochodzi ze Świdnika i fakt ten, sam w sobie, może już coś znaczyć. Jest to bowiem miasto szczególnej pokusy, rodzaj polskiego Manchesteru. Zycząc w cieniu wielkiego Lublina, zabudowane ciężkimi blokami z lat pięćdziesiątych ma jednak więcej samochodów głośniejszych marek niż sąsiednia metropolia, lepiej zaopatrzonej „Pewex” i bujniejsze życie za parkanami nowoczesnych willi. Z pewnością atmosfera tego miasta może nadać impuls wielkoświatowym marzeniom.

Mając dwadzieścia lat ukończyła Bożena w Lublinie szkołę zawodową, ze specjalnością masarzdobiarz. Kontynuowała potem naukę w Technikum Przemysłu Spożywczego, ale krótko. W perspektywie czekało ją życie szare i jednostajne, przerywane sobotnią pijatyką i nudą niedzielnych poranków. Od początku wyrażała bunt przeciw tej wizji. W 1974 roku podjęła pracę w przedsiębiorstwie rolnym na wsi, lecz wytrzymała tam zaledwie pół roku. W tym czasie poznała swego męża, Tadeusza. Boksował w Motorze Lublin. Pobrali się w marcu, a rozwiedli w lipcu. Także w przebiegu kariery zawodowej Bożeny trudno odgadnąć ciągłości i jedności zainteresowań. Pracuje jako spedytor i jako agent koncertowy. Te ciągle zmieniające się do stabilizacji w jakiegokolwiek formie, pogoni za nowością — stanowić będą całą istotę jej wielkiego—małego życia. Bożena ustawicznie tęskni za szerokim światem.

Wymiernym efektem tych marzeń staje się jej wizyta w Iraku, w 1977 roku. Przebywa tam na zaproszenie poznanego w Polsce arabskiego studenta, wyposażona w nikłą wiedzę o bliskowschodnich normach obyczajowych i w rozrosłe plany matrymonialne. Romans wśród palm, glinianych chat i brudnych herbaciarni szybko się kończy. Bożena powraca do kraju. Nie opuszcza jej jednak pragnienie wybiecia się, jednoznaczne w tym przypadku z potrzebą posiadania znacznego kapitału.

Zaczyna od drobnego handlu: dywany, obrazy, pseudoantyki. W tym czasie poznaje tanich oszustów, naciągaczy, małych spekulantów.

Rok 1979 i urlop spędzony w Zakopanem oznacza zmianę jej towarzyskiego otoczenia. Nawiązuje tam przyjaźń z obywatelem jugosłowiańskim, namiętym wielobiciem srebra.

Różnica w cenach tego metalu w Polsce i na Zachodzie wyznacza w okresie 1979—80 prawdziwy boom dla przemysłowców i stwarza łatwe możliwości szybkiego bogacenia się. Przyjaciel Bożeny P. Milorad, nie ma żadnych trudności by skłonić ją do współdziałania w tak rentownym przedsięwzięciu. Zostaje jego głównym zaopatrzeniowcem. Za każdy kilogram srebra ma otrzymać 270 dolarów.

Rozpoczyna się intensywna wędrowka po sklepach jubilerskich, bazarach, prywatnych kolekcjonerach. Skupuje sztuce, cukierki, tacki pod kie-

liszki, a także kryształki ze srebrnym opłotem. W tym czasie posiada już osobistą sekretarkę — Barbarę T., która na jej zlecenie dokonuje przeliczeń gotówki, sprawdza autentyczność obcych walorów płatniczych, prowadzi ewidencję przychodów i uczestniczy w pertraktacjach z kontrahentami. Cicha i nie lubiąca reklamy, pozostanie do końca w cieniu Bożeny — szara eminencja i prawdziwy mózg całej tej sprawy.

Bożena tymczasem szybko rozkręca interes. Gro-no odbiorców jej towaru powiększa się. Obejmuje m. in. sławną niegdyś biegaczkę narciarską, reprezentantkę Polski, Stefanię B., zamiesznaną swego czasu w głośną aferę przemytniczą spod kryptonimu: „Czerwona Oberża”. Ale znajomi Bożeny to nie tylko półświatki. Jest elegancka i inteligentna. Bywa więc w domu znanego rzeźbiarza, którego dziełem są, między innymi, meble zdobione wnętrza królewskiego pałacu w Sztokholmie. Poznaje aktorów i malarzy. Staje się częścią rodzimego high life'u i gościem tzw. dobrych domów. Posiada osobistego kierowcę, Bogdana F., właściciela lubelskiej taksówki. Często wciela się on, przy różnych okazjach, w syna wysokiego oficera MO, a drugi kompan — inżynier „Zdricho” w siostrzeńca jednego z wicepremierów. To, choćby fikcyjne, otarcie się o ludzi posiadających władzę, lub ją reprezentujących, jest niezwykle symptomatyczne dla przypadku Bożeny P. „Miałam układy i czułam się bezpieczna — powie potem. — Nie mogłam nawet marzyć, że może mi się stać coś złego”.

Jej świat stanowią teraz, drgające przyciemnionym światłem, wnętrza hotelowych barów, szelest drogiego materiału, luksusowe samochody, baseny i sauny, zapach kosztownych perfum, usługna dyskrekcja wyfranczonego kelnera, Bożena wydaje pieniądze z równą zachłannością, z jaką je zarabia. Jest szczęśliwa. Nie ma chyba hotelu wyższej kategorii w Polsce, który by jej wówczas nie gościł; nie ma też chyba nikogo ze świata sztuki i interesu, który by jej nie spotykał. Pieniądz nie pyta skąd przychodzi pieniądz. Jej moi przyjaciele skłonni są wybaczyć niejedno. To do nich czuć będzie później największy żal, że ją opuścili.

Aby nadażyć za rosnącymi ambicjami podejmuje także Bożena handel azotanem srebra. Z jednego kilograma tego związku można otrzymać pół kilograma srebra. W zdobyciu, niedostępnego w komercyjnej sprzedaży, towaru pomagają jej przyjaciele — magazynierzy z PHCH „Chemia”. Kiedy jedna z pracownic tego zakładu odkryje przypadkowo ubytki, Andrzej Z. upozoruje włamanie do magazynu. Śledztwo w tej sprawie zostanie do czasu umorzone. Jedyną poszlaką pozostanie obecność na miejscu przestępstwa samochodu Polonez. (Na giełdzie w Chorzowie kupuje Bożena w tym czasie niebieski samochód tej marki, jeden z pierwszych, jakie pojawią się na ulicach Lublina. Do dziś jest dumna z tego faktu)

Srebrna żyła wygasa nieoczekiwanie wiosną 1980 roku. Ceny na Zachodzie gwałtownie spadają, przy jednoczesnych podwyżkach w Polsce. Interes przestaje się opłacać. W okresie od marca 1979 do kwietnia 1980 nabyła i odsprzedala Bożena swym zakopiańskim odbiorcom: 42 kg srebra i 57 kg azotanu, łącznej wartości 1 298 400 złotych, uzyskując w ten sposób zapłatę w wysokości 7370 dolarów USA i ponad 1 miliona złotych.

Bywały z pewnością w historii polskiej kryminalistyki afery większego kalibru, ale spekulacja to zaledwie jeden z prokuratorskich zarzutów wobec Bożeny P.

Po srebrnym krachu niełatwo jest jej pogodzić się z widmem raptownego spadku życiowej stopy. Rozgląda się za czymś innym. Zacieśnia kontakty ze światem cinkciarzy, oszustów i szulerów. Odkrywa bowiem w sobie namiętność do hazardu; pieniądze uzyskane ze sprzedaży Poloneza przegrzywa na Służewcu, uwielbia grę w „numerki”, pociąga ją poker i ruletka. Jest początek lat 80—tych. Wielki chaos toczący się przez kraj staje się doskonałą przykrywką dla aktywizacji marginesu — tworzy swoisty klimat bezkarności i niepowtarzalną szansę. Bożena obraca się teraz w środowisku waluciarzy, puszczaćcych w obieg fałszywe studolarówki. Próbuje także handlować podrabianą biżuterią. Główną namiętnością pozostaje jednak świat „Wielkiego Szu”. Zamykają się apartamenty wynajęte na kilka dni. Bożena organizuje grę, załatwia partnerów, rezerwuje pokoje, dba o intymność anonimowości i dyskrecję. Czasami sama uczestniczy w wielkim święcie. Poznaje bliżej ludzi z „branży”. Do „Hrabiego” — Tadeusza R. przegrzywa we Wrocławiu swojego fiata 132 mirafiori. Podejrzana jest o współdziałanie w zorganizowaniu napadu rabunkowego z bronią w rękę. Gwałtownie i aktywnie poszukuje pieniędzy, by utrzymać się „na rynku”. Kiedy zawadzi szczęście, jedyną szansą staje się jawne oszustwo.

W lecie 1981 roku niezwykle popularne w świecie cinkciarzskim atają się rejsy na promie „Rogalin”. Nie mają one nic z charakteru dalekomorskich wojaży, ani nawet wahadłowych skoków do skandynawskich sąsiadów. „Rogalin” podplywa jedynie do granic wód terytorialnych PRL, całą noc dry-

1	2	3	4	5	6	7	8
16	17	18	19	20	21	22	
	31	32	33	34	35	36	37
46	47	48	49	50	51		52
60	61	62	63	64	65	66	67
75	76	77		78	79	80	81
90	91	92		93	94	95	96
		105	106	107	108	110	111
119	120	121	122		123		124
		133	134	135	136	137	138
148	149		150	151	152	153	154
163		164	165	166	167	168	169

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać fragment powieści pisarza, którego imię i nazwisko utworzą pierwsze litery 13 początkowych wyrazów pomocniczych. Czarne kratki w diagramie odpowiadają przerwom między słowami.

Wyrazy pomocnicze

- przepląwa przez Krasnojarsk — 18, 49, 82, 2, 175, 79, 97.
- koniec rzeki — 23, 115, 163, 138, 172, 19.
- ośrodek sportów zimowych w Finlandii — 68, 15, 73, 81, 113.
- ozdobna litera na początku tekstu — 23, 171, 109, 161, 154, 25, 10.
- siaraczan wapnia — 5, 48, 139, 157, 164, 95, 117, 70.
- stolica Cypru — 1, 167, 159, 162, 46, 56, 66.
- zmiana warunków pożyczki — 4, 47, 90, 34, 173, 136, 152, 121, 63.
- zbrojna napaść państwa na państwo — 8, 31, 45, 85, 16, 174, 83.
- armia, siły zbrojne — 12, 102, 64, 93, 168, 179.
- zagarnięcie cudzych ziem — 13, 108, 177, 145, 118, 78, 55.
- noszony pojazd — 166, 98, 140, 156, 137, 65, 120.
- wydanie druków wartościowych — 3, 99, 148, 124, 144, 169.
- ojciec Andromedy, też gwiazdozbiór — 72, 104, 24, 155, 17, 80, 176.
- zielonka — 9, 30, 41, 57, 69.
- w uzdrowiskowych lazienkach — 38, 122, 150, 58, 165, 158, 110.
- najmocniejsze w jajku — 6, 76, 127, 134, 52, 11.
- parów, jar — 116, 125, 77, 135, 111.
- za usługę lat lub funkcyjny — 7, 21, 131, 106, 170, 149, 60.
- równoległa do sufitu — 14, 33, 20, 87, 138, 178, 143.
- na tyłach podwórzy wiejskich — 29, 86, 44, 107, 51, 75, 40.
- dawna jednostka ciężaru — 54, 61, 103, 119.
- rzymska Hera — 28, 141, 112, 132.
- miejsce przerwania frontu — 129, 91, 105, 160, 92.
- brednie do plecienia — 50, 53, 100, 71.
- port Tel-Awiwu — 36, 88, 142, 62, 37.
- kur — 133, 96, 74, 153, 42.
- do siana, gnoju, słomy itp. — 43, 59, 67, 32, 130.
- jest nim wąż, żółw i krokodyl — 126, 151, 89.
- z Widzewa do włoskich drużyn zawodowych — 39, 101, 147, 123, 114, 27.
- ozdobna dynia — 94, 35, 22, 84, 146.

Rozwiązania można przesłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231, 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bonus książkowy za 500 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 14 SZYFROGRAMU LITERACKIEGO

Kiedy psak jej nie miał stołca, rozpaczła, jak gdyby świat się kończył; ale kiedy jego, Francisca, los doświadcza jak Hoba, ona wyjeżdża z pierwszym taksówką, Buchnęło w nim niedorzeczne pragnienie zemsty.

LION FEUCHTWANGER „Goya”

Nagrodę wylosował Mariusz Piecuch, 36-002 Jasionka 77, woj. rzeszowskie.

Krzyżówka nr 16 - szyfrogram literacki